

... *Ewa wzywa 07* ...



Helena Sekuła

SREBRNA MONETA

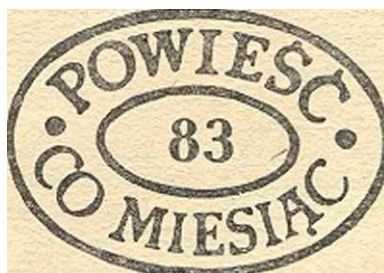


ISKRY

N.

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Helena Sekuła
SREBRNA MONETA



ISKRY • WARSZAWA • 1975 -----

— ...Nie wiem, dlaczego, ale zanim to zrobię, chcę jeszcze usłyszeć ludzki głos... Swoją drogę muszę ukończyć sama, nikł mi w tym nie pomoże, więc nic wiem, dlaczego mówię właśnie do was... Widocznie dopóki człowiek oddycha, wciąż jeszcze czegoś pragnie, a to jest moje ostatnie pragnienie, które się spełniło, bo nie odkłada pan słuchawki, nic przerywa mi, milczy i słucha... Czuję to, słucha mnie pan bardzo uważnie... Człowiek odchodzący na tamten mroczny brzeg, skąd nikt nigdy jeszcze nie wrócił, taki człowiek jest godny uwagi bardziej aniżeli ktoś szukający u was chwilowej pomocy. I może nawet wstyd panu za tę ciekawość, może jej pan nawet nigdy w sobie nie przeczuwał... Siedzi pan teraz pewnie w jakimś fotelu, niewątpliwie za biurkiem, z pudełkiem telefonu w zasięgu ręki i... bardzo możliwe, że kiedyś, zanim pan przy tym biurku usiadł, wierzył pan w swoje posłannictwo i to skłoniło pana do ukończenia wymaganych, nie mogę powiedzieć przydatnych, przy tym zajęciu studiów... A więc panie...

— Majewski, nazywam się Łukasz Majewski...
— psycholog Telefonu Zaufania skinieniem ręki przywołuje koleżankę, zajęta przy sąsiednim biurku, pisze na kartce: *Kandydat na samobójcę. Sprawdź, jaki numer na linii!*

Dziewczyna momentalnie wychodzi z pokoju.

— ...święty Łukasz ewangelisto, magistrze spraw ostatecznych, niech pan powie szczerze, ale tak szczerze, jak to powinno powiedzieć się człowiekowi przed śmiercią, dlaczego tkwi pan tam, w jakimś świeckim konfesjonale i spowiada laickich desperatów, niedoszłych samobójców, rozchwianych nadwrażliwców i histeryków,

nie kłamać, nie godzi się okłamywać umierającego, niech więc pan powie, co pan pomyślał!

— Pomyślałem, że nic wszystko jeszcze stracone, jeśli człowiek szuka innego człowieka, chociażby tylko za pośrednictwem telefonu... Więc nie utracił jeszcze zupełnie nadziei.

dlaczego pan tam siedzi? Naprawdę pan wierzy, że pomaga pan światu... no, może nie całemu światu, ale temu miastu, tej ludzkiej termitierze, gdzie przeszło milion jadowitych i bezwzględnych mrówek walczy ze sobą nieustannie, zjada się, okalecza, wariuje, unicestwia? A pan chce temu zapobiec za pomocą dobrej woli i telefonicznego kabla?

— Dziewczyno...

— Iza, proszę pana, Izabela Białoń. Przedstawiam się, chociaż to już i tak jest bez znaczenia... Niech się pan przyzna, niby się pan przejmuje zagrożonym tworem natury, tą trzciną myślącą, to chyba Pascal, prawda? Więc niby obchodzi pana, co mam do powiedzenia, a to tylko dlatego, aby ktoś inny zdążył zbadać, skąd dzwonię, tak ? ,

— Chcę pani pomóc i jestem wdzięczny za ten łut zaufania, be jednak zadzwoniła pani do nas.

— Nie mam nikogo bliskiego, dlatego zadzwoniłam do was.

— Czasami łatwiej zwierzyć się nieznajomemu.

— Tak, ma się mniej oporów, to jak rozmowa w pociągu z przygodnym towarzyszem podróży, tylko że ja zaraz wysiadam... I nie mam się właściwie z czego zwierzać. Miałam szare, nieudane życie, nie było w nim szczęścia. Ani jedno z moich pragnień nie ziściło się. Może były zbyt ambitne? I dlatego. Nie wyszło, nic mi nic wyszło, rozumie pan? Tylko niech mi pan nic mówi, że każdy jest kowalem swego losu...

— Nie mówię.

— Każdy jest więźniem swego losu... Pomyślał pan: tania filozofia, tak? Proszę

— Atawizm, resztki instynktu.

— Wola życia. Posłuchaj mnie, być może to tylko chwilowa depresja, nie poddawaj się jej biernie, musisz się bronić, pomogę ci! To nie są tylko słowa, masz tu przyjaciół... Słyszysz mnie? Iza! Izabela... Iza. odezwiij .się... mów ze mną, to także obrona!

— Wypiłam kieliszek koniaku. Nie, jeszcze nie z tym... Jeszcze mam trochę czasu, ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

— Jakie?

— Chcesz mi przeszkodzić?

— Tak.

— To przecież niemożliwe, wystarczy, abym odłożyła słuchawkę.

— Iza, obraziłaś się na życie? Chcesz zniszczyć je, raz dane, niepowtarzalne, zniszczyć pod wpływem niepowodzeń, może rozpaczy, a może tylko nastroju zrodzonego z samotności...

— Każdy ma swoją miarę, moja jest już wypełniona po brzegi. Możliwe, że w twojej to byłaby tylko kropla, mała kropla podkreślająca smak życia jak ostra przyprawa. Nic nie wiesz o samotności, o m o j e j samotności, bo każda samotność jest inna, tak jak ja nic nie wiem o twojej... Może ty zabijasz swoją samotność za pomocą telefonu stojącego tam na twoim biurku? Wypełniasz ją nieudanymi losami ludzi, co szukają u was ratunku. oparcia i przez to czujesz się mniej samotny i mniej nieszczęśliwy... Przygnębiająca jest jesień, deszcz i ten okropny wicher... Czy to prawda, że najwięcej samobójstw ludzie popełniają w listopadzie?

— Prawda.

— Dręczy mnie wycie wiatru, od wielu dni odbiera sen... Targa drzewa w ogrodzie. Bezlistne gałęzie wyglądają jak szubienice...

— Masz pod oknem drzewa?

— Tak. Dom stoi w dużym ogrodzie, bo to dom z czasów, gdy działki, parcele, jak je wtedy nazywano, nie były jeszcze wielkości łąty na dzinsach. Należy co ludzi, którym się wszystko w życiu udało, nawet nie domyślasz się, jak bardzo. Teraz będą mieli kłopot, bo tracą dobrą służącą, czyli pomoc domową, jak się obecnie mówi, ale wiadomo, nazwa nie zmienia istoty rzeczy.

— Zawód jak każdy inny.

— Nie żartuj, cóż to za zawód? Kuchta! Kiedyś tak się o nich mówiło, truły się esencją octową, gdy je porzucali strażacy. I ja jestem kuchtą, i także sic truję, tyle że nie esencją octową i nie przez strażaka... Oto jak się zmieniają obyczaje...

— Posłuchaj mnie, Iza...

— Jeszcze słucham! Czy wszyscy kandydaci na samobójców są tak gadatliwi? I naprawdę bierzesz mnie poważnie? Może jestem ^wyklą histeryczką albo udaję? Nikt wam nigdy nie zrobił kawału?... — głos się łamie. Łukasz słyszy stłumiony szloch i coś jakby dźwięk szkła. Trwa przykuty do słuchawki, łowił słabe odgłosy życia docierające z tamtej strony przewodu i myśli, że jeśli tamten człowiek odezwał się sam, to on, Łukasz, ma szansę, aby go powstrzymać i odwieść od samouniżenia.

Czy znalazł właściwy ton i jakich słów potrzeba, aby dotarli do tej dziewczyny? Ma wrażenie, jakby ona była odgradzona od niego niewidzialną ścianą, a gdyby nie pytania i odpowiedzi można by sądzić, że ten co

chwila zmieniający barwę głos nagrany został na płytę; głęboki alt pełen dramatycznego napięcia.

Po chwili rwący się szept w słuchawce:

— ...nie uratujesz mnie, Don Kichocie... — jeszcze jakiś nieartykułowany dźwięk, jak gdyby spazmatyczne westchnienie, i cisza; z tamtej strony słuchawka została położona albo wypadła z ręki.

— Rozłączyła się? — zagłada koleżanka. — Na adres chwilę trzeba poczekać...

Gdy psycholog, wyprzedzając lekarza pogotowia ratunkowego, przeskakuje stopnie dzielące go od willi na Saskiej

Kępie, dopiero przychodzi mu na myśl, że przecież te drzwi — masywne, z czarnego dębu, z metalową rozetą zamiast klamki — mogą być zamknięte. Ale przekrecona do oporu rozeta zwalnia zatrask i drzwi ustępują.

Mrok obszernego hallu rozrzedzają plamy nikłego światła sączącego się z chińskiego lampionu; obok wejścia szara- gi z lśniącego i bardzo ciemnego drzewa, w głębi skrzynia, wielka chińska szkatułka połyskująca laką i masą perłową, nad nią lustro w wąskiej ramie, także z lakierowanego drzewa, w lustrze odbicie rozwartych dwuskrzydłowych drzwi i... wyprostowanej sylwetki mężczyzny.

Wszystko to Łukasz rejestruje w czasie krótszym niż mgnienie i uczucie ulgi, że ktoś nadszedł z pomocą, zanim oni zdążyli przyjechać, także trwa krócej niż mgnienie.

' — Co tu się stało, na miłość boską, kim panowie są?! — krzyczy na ich widok mężczyzna łamiącym się głosem.

Olbrzymi pokój; całą ścianę na wprost drzwi zajmują łukowato sklepione okna sięgające podłogi, udrapowane firankami z białego tiulu. Nieliczne stylowe sprzęty na wygiętych pajęczych nóżkach — po- .lysk szlachetnej polityry, fioletowe złoto obić i biel; w rogu pokoju kominek z marmurowym fryzmem, przy nim stolik, fotel; obok na dywanie konwulsyjnie skręcone ciało.

Lekarz odsuwa z drogi szpakowatego mężczyznę, przykłęka przy leżącej kobiecie. Bada puls, wywija powieki, potem ogląda napoczętą butelkę szkockiej whisky, stojącą na stoliku. Na tym samym stoliku telefon, słuchawka, zwieszona na sznurze, opiera się o biało-złoty dywan wyściełający podłogę, obok słuchawki leży przewrócony kryształowy kieliszek.

Lekarz jeszcze raz pochyla się nad kobietą — zrezygnowany gest dłoni.

— Nie żyje? — upewnia się Łukasz, chociaż zachowanie lekarza jest dostatecznie wymowne.

— Nie żyje — potwierdza tamten. — Chyba jakaś trucizna. Trzeba zawiadomić milicję — sięga do telefonu i cofa

rękę... — Może poszuka pan automatu? — proponuje Łukaszowi. — Oni nie lubią, gdy się czegoś dotyka przed ich przybyciem.

Milicja — inspektor, fotograf i technik kryminalistyki z komendy dzielnicowej — jest po kwadransie.

— Kapitan Andrzej Czyżewicz, inspektor służby kryminalnej — przedstawia się młody mężczyzna, ubrany w ociekający wodą nieprzemakalny sztormiak i gruby golf w norweski wzór.

Jest chyba w moim wieku — ocenia psycholog — najwyżej trzy, cztery lata po studiach.

— Majewski — Łukasz wyciąga do niego rękę. — To ja do pana dzwoniłem.

— Magister Piotr Paweł Łapiński — anonsuje się ceremonialnie starszy pan — kierownik działu planowania w centrali handlu zagranicznego.

— Dlaczego twierdzi pan, że to samobójstwo? — Czyżewicz z zainteresowaniem przygląda się Łukaszowi; psycholog szczegółowo opowiada przebieg rozmowy z Tzą Białoń.

— Zadzwoiła kilka minut przed ósmą, kiedy przyjechaliśmy tutaj, było piętnaście po dziewiątej, ale miałem nadzieję, że ją uratujemy... — milknie przynębiony; czuje się jak chirurg, który popełnił błąd w sztuce. Nie zapobiegł śmierci dziewczyny, bo nie potrafił nawiązać z nią kontaktu, nie umiał uruchomić psychicznych rezerw istniejących w najbardziej nawet załamany człowieku.

Technik zawija rękawy swetra, naciąga na dłonie cienkie gumowe rękawiczki; Łukasza nie opuszcza uczucie dojmującej klęski i żalu, paradoksalnego żalu do zmarłej. Wbrew woli wciąż wraca spojrzeniem do martwej dziewczyny. M u s i patrzeć.

Na jej twarzy rozmazany makijaż, niebieską pastelę nałożoną na powieki pogłębia teraz cień śmierci. Ubrana jak na bal, w wieczorową suknię z ciężkiej szafirowej mory. Głęboko dekoltowana góra i szeroka spódnica, omotana wokół nóg, obutych w płytkie czółenka z tej samej tkaniny, co suknia.

Ramię oplątane szalem z beżowej gipiury. Długie rękawiczki z tej samej koronki, wiotkie, jakby z nich także uciekło życie, zwisają z poręczy fotela, jedna zsunęła się i palcami dotyka dywanu.

Dziewczyna leży blisko kominka, gdzie niedawno musiał płonąć ogień, bo żarzą się jeszcze grube, spopielale głownie; twarz ma zwróconą w stronę łukowato sklepionych werandowych okien, wychodzących wprost na ogród. Przez drapczie firanek majaczą za szybami nagie konary drzew targanych wiatrem.

Łukasz znów powraca spojrzeniem do postaci pod kominkiem; na przegubie ręki złota bransoletka, a właściwie kilkakrotnie okręcony łańcuszek, spięty brelokiem z koralu. Na piersiach owalny staroświecki medalion ze złotego filigranu.

— Przecież to nie jej! — wola nagle Piotr Paweł, wskazując klejnot na szyi dziewczyny.

— A kim pan właściwie jest? — kapitan Czyżewicz jak gdyby dopiero teraz zauważył Łapińskiego.

— Przecież przedstawiłem się panu.

— Kim pan jest dla zmarłej?

— Obcym! Zupełnie obcym — gwałtownie odzęgkuje się Piotr Paweł.

— Mnie powiedziała, że jest służącą — włącza się Łukasz; przygląda się rękom dziewczyny. Technik właśnie daktyloskopuje zmarłą; mocne, szerokie dłonie ze zbyt krótkimi palcami, lecz starannie utrzymane, z paznokciami przyciętymi w kształt migdału, pokrytymi połyskliwą emalią o barwie koralu.

Prawdę powiedziała — skwapliwie przyznaje Piotr Paweł. — To Iza, Izabela Białoń, pomoc domowa moich przyjaciół, a właściwie przyjaźń łączy mnie z panią starszą, matką pani domu — uzupełnia i po chwili: — ...a ten medalion to nie jej, tylko pamiątkowy pani Celiny. Proszę, niech pan kapitan sam sprawdzi. Na odwrocie jest monogram... Nie rozumiem, skąd u Izy ten naszyjnik...

Technik odpina zameczek i ostrożnie zdejmuje z szyi dziewczyny staromodną ozdobę — umieszcza ją w przezroczystej torebce. Na awersie wypukłego owalu widać inicjały z niebieskiej emalii: C. W.

— Dlaczego ona... — nie może darować Piotr Paweł.

— Pasował do całości stroju — zauważa milczący dotychczas lekarz.

— Owszem, pasował — godzi się Łapiński — ale pani Celina na ogół nie rozstaje się z tym medalionem, to pamięta. Jeszcze po jej babce.

— Tym razem widocznie się rozstała — zamyka kwestię Czyżewicz; fotograf strzela fleszem, kilka ogólnych zdjęć sytuacyjnych, potem poszczególne fragmenty, następnie ciało zmarłej, twarz, stolik z butelką, kieliszek na podłodze.

Technik zbiera ze stolika żyletki.

— Chciała przeciąć sobie żyły? — głośno rozważa kapitan: jeden nożyk jest wysunięty z papierka, pozostałe dwa w nie tkniętych firmowych opakowaniach.

Technik pęsetą wkłada żyletki do koperty, zbiera ślady z napoczętej butelki szkota i kryształowego kieliszka. Poza telefonem nic więcej na stoliku nie ma, blat jest idealnie czysty.

— Gdzie są domownicy? — pyta kapitan Czyżewicz Piotra Pawła Łapińskiego.

— Celina, to znaczy pani Wójcikowa wyjechała do sanatorium. Marysia, jej córka, gdzieś z Jackiem poza Warszawą, ale nie wiem, gdzie, natomiast Olansky, mąż Marysi, chyba w podróży handlowej.

— O l a n s k y ? — unosi brwi oficer.

— N^bert Olansky — skanduje starszy part. — Ach tak! — pojmuje zdziwienie kapitana — to Kanadyjczyk polskiego pochodzenia, urodzony i wychowany w Kanadzie, stąd takie brzmienie nazwiska.

— Reemigrant?

— Niezupełnie. Jest obywatelem kanadyjskim, ale odkąd ożenił się z Marysią, mieszka w Warszawie.

— Czym się zajmuje?

— Robi w skórce... prowadzi w Kanadzie jakieś przedsiębiorstwo o tym profilu. Dokładnie nie jestem zorientowany — powściągliwie oznajmia starszy pan.

— Po co pan przyszedł, skoro wiedział pan, że nikogo poza gospożą nie ma w domu ?

— Dzwoniłem, telefon był wciąż zajęty, sądziłem, że przyjechała Celina... — jąka

Łapiński. — Kartę, którą jej posiałem do sanatorium, zwrócono i... dlatego przyszedłem. Byłem tu około dziewiętej — uprzedza pytanie kapitana i zaraz szybko zaczyna opowiadać, co zastał po wejściu do willi: — W przedpokoju palił się lampion, oba skrzydła drzwi do salonu były otwarte, świecił się kandelabr na kominku. Izy nie spostrzegłem, bo jak pan widzi, kominek jest. w rogu. Dopiero gdy zająrzałem do salonu, zobaczyłem ją za tym fotelem i stolikiem. „Zemdla- łaV Tak pomyślałem. Dotknąłem jej ramienia, a ramię zimne. Ogarnęło mnie przerażenie, stałem jak sparaliżowany, żadnej myśli, tylko: „Co się tu stało?” I zaraz weszli ci panowie... — Łapiński kończy z widoczną ulgą.

— Więc drzwi wejściowe były otwarte, a może dysponuje pan kluczami? — wypytuje kapitan.

— Mimo wielkiej zażyłości z Celiną nie przyjąłbym kluczy od domu jej zięcia — odpowiada z urażoną godnością.

— Nie zamyka się drzwi, czy tu panują takie zwyczaje?

— Zamyka się! Iza musiała pozostawić otwarte... Wystroiła się niby to na śmierć, ale rygli nie zasunęła, aby łatwiej ją było ratować. Widocznie pewna była, że pan przybiegnie z pomocą — zwraca się do Łukasza — po co zresztą by dzwoniła? Tylko chyba za wiele łknęła tego jakiegoś paskudztwa i przeliczyła się.

Łukasz myśli, że nie można odmówić pewnego sensu wywodom Piotra Pawła, mogło być i tak.

— Dlaczego twierdzi pan, że „łknęła jakieś paskudztwo”? — podchwytuje Czyżewicz; zastanawia go zorientowanie Piotra Pawła.

— No, a od czego by... Przecież pan doktor też tak przypuszcza — przytomnie ratuje się Łapiński.

— Czemu ona to zrobiła? — pyta Łukasz.

— Kiedyś już miała jakieś depresje — Łapiński i na to znajduje odpowiedź. — Nie żeby zaraz się truła, ale tak powtarzała: „Życie mi zbrzydło”, i takie tam głupstwa. Celina wspominała. Ale że nikt poważnie tego nie traktował, to może teraz chciała nastraszyć, takie zwykłe fanaberie... — milknie, bo przypomina sobie, że mimo tych z w y k ł y c h fanaberii Iza nie żyje. — Niby alienacje wiejskiej dziewczyny, co nie umiała żyć w wielkim mieście, te tam modne teraz nowinki... A wszystko jedno, młodym w głowach się przewraca. Weźmy choćby i Izę. może źle jej było? Widzi pan, jak ubrana, w pierwszej chwili na pewno pan pomyślał, że to pani domu, nie służąca.

— Jak długo Iza pracowała u Olan- skich?

... Ze dwa lala. dokładnie nie pamiętam.

— Z pewnością miała jakichś znajomych.

— Nie interesowały mnie jej znajomości, ale owszem, miała narzeczonego, nawet raz go tu widziałem. Chyba Celina mówiła, że ma na imię Adam, pewny nie jestem.

— Trzeba zawiadomić kogoś r. domowników — decyduje kapitan. Gdzie jest pani Olanska? — Łapiński nie zna adresu. — A pani Wójcikowa? Wspominał pan o sanatorium.

— Tak... Miała być w Nałęczowie, wilia „Jaskier”. Wie pan, kapitanie? Mogę po nią pojechać — niespodziewanie ofiarowuje się Łapiński.

— Załatwimy to prościej — Andrzej nie korzysta z jego uprzejmości, zamawia błyskawiczną, w kilka minut później jest na linii Nałęczów.

— Nie ma u nas takiej kuracjuszki... — informuje go recepcja domu „Jaskier”. — Nic, to nie żadna pomyłka, panie kapitanie, nie ma i nie było z całą pewnością.

Czyżewicz łączy się z posterunkiem milicji w Nałęczowie — zleca sprawdzenie w innych ośrodkach kuracyjnych.

— Może nie w „Jaskrze”, może w innym domu lub na kwatery prywatnej — wycofuje się Łapiński.

— Chciał pan po nią jechać, nie wiedząc, dokąd? — zachowanie starszego pana coraz bardziej zastanawia Andrzeja.

— Sądziłem, że Celina jest w Nałęczowie — broni się niepewnie Piotr Paweł;

myślał tak, bo ostatnio starsza pani u- skarżała się na serce i wspominała o tej miejscowości; jest przecież rencistką służby zdrowia, więc z pewnością bez trudu mogła sobie zapawnić miejsce w Nałęczowie.

— A na jaki adres wysłał pan kartę pocztową do sanatorium? • przyspila go Łukasz; wydaje mu się, że Czyżewi- czowi umknęło tamto zdanie Łapińskiego o zwróconej mu korespondencji.

— Młody człowieku, wypraszam sobie! — grzmi nagle z urażoną godnością Piotr Paweł. — Jak pan śmie mi imputować... A w ogóle w jakim charakterze pan tu jest? Dlaczego pan mu na to pozwala? — ostatnią pretensję kieruje do Czyżewicza.

— Moja obecność jest tu bardziej uzasadniona niż pańska! — podkreśla Łukasz i zaraz żałuje tego, co powiedział, bo magister Łapiński po chwilowym uniesieniu oklapł nagle i. wydaje się bezbronny jak dziecko.

Dyplomatyczne wkroczenie Andrzeja z gałązką oliwną przerywa sygnał telefonu; kapitan podnosi słuchawkę, uprzedza skwapliwą inicjatywę Piotra Pawła.

— Mieszkanie państwa Olanskich.

— Tu Maria Olanska, ale kto przy telefonie, pan Kornacki? — dopytuje się zdziwiony głos. Oficer przedstawia się i prosi o natychmiastowy przyjazd. Zdenerwowana Olanska chce wiedzieć, co się stało. Czyżewicz informuje o wypadku z gospożą, proponuje wysłanie wozu. Maria dziękuje, ma własny — zaraz przyjedzie.

— Czy 'o dzwoniła Marysia? — ożywia się znów Piotr Paweł.

— Tak. A panu chwilowo dziękuję, proszę wracać do domu — splewia go Andrzej. — We wtorek na dziesiątą proszę przyjść do komendy. Muszę zaproto-

- kolować pańskie zeznania.

— Ależ Marysia w takiej chwili będzie potrzebowała pomocy — protestuje Łapiński; Czyżewicz odprowadza jednak Piotra Pawła do przedpokoj, czeka, aż się ubierze i dopiero gdy za tamtym zamykają się drzwi, wraca do salonu.

— Dziwna ta pomoc domowa... — zaczyna Łukasz, ciekaw opinii kapitana.

— Tak, ten strój — przyznaje Andrzej. —

Gospoście raczej tak się nie noszą, ale to może być suknia Olanskiej. podobnie jak medalion na szyi. Coś jednak niewyraźnego dzieje się z matką rodu i ten przyjaciel domu...

— Zwrócił pan uwagę na jej ręce? — Łukasz brnie za swoją poprzednią myślą, puszczając mimo uszu uwagę o starszej pani.

— Mocne, szerokie dłonie, bardzo starannie utrzymane, o to panu chodzi? — Łukasz potwierdza. — Przy pracy w gospodarstwie domowym istotnie trudno zachować nie zniszczone ręce. lecz jeśli się

0 nie dba... Wie pan, moja matka zawsze wszystko robi sama, a do dziś ma pięknie utrzymane ręce... Używa rękawiczek, kosmetyków.

— Ciągłe mam w pamięci rozmowę z tą kobietą. Właściwie był to niemal monolog, ja tylko słuchałem. Widzi pan, jej sposób wysławiania się. formułowanie zdań wskazywało na dziewczynę czytana, ze znaczną oglądą... To nie był język osoby prymitywnej.

— A według utartych pojęć służąca to koniecznie ktoś prosty, wręcz ograniczony, tak? Ona zaś nie pasuje do schematu
I to pana niepokoi.

— Nie tylko... — Łukasza drażni ironia Czyżewicza, a nie potrafi sprecyzować uczucia, jakie prześladuje go, odkąd znalazł się w willi Olanskich.

— Przyczyny, szuka pan. przyczyny — pomaga mu kapitan. — Człowiek o bardziej złożonej psychice, a więc i bardziej skomplikowane motywy postępowania...

— Przecież nic o niej jeszcze nie wiadomo — przerywa Łukasz.

— Przed chwilą charakteryzował ją pan jako dziewczynę inteligentną — Andrzej podkreśla niekonsekwencję.

— Tak, ale wszystko -takie sprzeczne — Łukasz wciąż nie umie wyjaśnić, co ma na myśli. — Ten jej patos! Jestem, jak panu wiadomo, psychologiem, wówczas przy telefonie byłem bardzo przejęty, może to niedobrze tak się angażować emocjonalnie, no cóż, inaczej nie potrafię, zapewne kiedyś stępieję... Ta rozmowa utkwiła mi w pamięci jak zapis steno- graficzny. Kie p a s u j e do samobójcy! Albo...

— Albo Piotr Paweł ma rację: zainsce- nizowała dramat i przeliczyła się — kończy za niego Andrzej

— W swojej praktyce natknąłem się na facetkę, którą już sześć razy odratowano — wspomina Łukasz. — Stała klientka, ale nigdy nie wiadomo, który raz będzie tym ostatnim. Oczywiście to przypadek skrajny, patologiczny. Jednak nie odniosłem wrażenia, aby Iza Białoń należała do tej kategorii...

Maria Olanska jest przerażona, wstrząśnięta wypadkiem. Na ścieżce ogrodowej minęli ją sanitariusze ze zwłokami. Ten widok rozstroił ją do reszty.

— Boże! A ja dzwoniłam, żeby przygotowała puszki z anansem i w ogóle... Bo w tym Otwocku nic nie można dostać, a mamusi nie ma i Norberta nie ma... uczepiła się tych ananasów, sweterków i rajstop dla Jacka, nie sposób z nią rozmawiać.

Czyżewicz przynosi coś na uspokojenie, bez trudu znalazł relanium w domowej apteczce. Olanska odsuwa pastylkę, nie chce. Nigdy nic bierze żadnych pokójówek !

Ze stylowej komody wyciąga butelkę. Panowie będą tak uprzejmi i się z nią napiją? Panowie są uprzejmi.

W barku stoją rzędem piękne kryształowe kieliszki, lecz Maria wychodzi do kuchni i przynosi stamtąd inne, ze zwykłego szkła. Czyżewicz i Łukasz spoglądają na siebie, Łukasz nieznacznie wzrusza ramionami.

Olar.ska nalewa koniak, duszkiem wychyla pełny kieliszek i od razu napętnia następny.

— Kto to jest Kornacki i dlaczego myślała pani, że to właśnie on odebrał telefon? — Andrzej ryzykuje pierwsze pytanie.

— To ostatnia sympatia Izy — Maria śledzi refleksy światła przenikające bursztynowy napój. — Pomyślałam, że on tu jest i w pierwszej chwili wzięłam pana za niego.

— Ma głos podobny do mojego? — uśmiecha się Andrzej.

— Nie! Po prostu usłyszałam głos młodego mężczyzny, a tembr Norberta i Piotra Pawła znam... Czy Iza pozostawiła jakiś list? — pyta po chwili wahania.

Andrzej zaprzecza; nic mu o tym nic wiadomo, lecz przed śmiercią rozmawiała telefonicznie z psychologiem Telefonu Zaufania — wskazuje Łukasza.

— Co mówiła?! — Maria niespokojnie przypatruje się Majewskiemu; w jej dużych, przedłużonych pastelą oczach kryje się strach, tak się przynajmniej Czyżewiczowi wydaje. — Czy wspominała coś o mnie, o nas?

— Tyle tylko, że jest służącą .u ludzi, którym powiodło się w życiu.

— Tylko tyle?! — w rym okrzyku brzmi niedowierzanie i ulga, przede wszystkim ulga.

— Jeszcze o nieudanym życiu, samotności, nigdy nie spełnionych pragnieniach.

— Zawsze zazdrościła innym i miała pretensje do losu. Malkontentka — mówi Maria z niechęcią.

— ...zwracała się do mnie per „magistrze spraw ostatecznych” — podejmuje Łukasz, podobnie jak Czyżewicz śledząc uważnie reakcje Olanskiej — i poddawała w wątpliwość skuteczność moich usiłowań w ratowaniu laickich desperatów i rozchwianych nadwrażliwców za pomocą dobrej woli.

— Coś takiego!

— Dlaczego panią to dziwi?

— No nie... Ale ona była dość małowówna i raczej nie używała metafor. Nie rozumiem, co się z nią stało. Prawie codziennie dzwoniłam do domu, nie, nie wymagałam, aby tkwiła od rana do nocy przy telefonie. Umówiliśmy się, że będę dzwoniła po dziesiątej wieczorem. Wczoraj w ogóle nie telefonowała, natomiast przedwczoraj wydawała się całkiem zwyczajna, nawet nie smutna... Skąd ta elokwencja? Chyba była pijana! — badawczo i z niedowierzaniem przypatruje się Łukaszowi.

— Piła? — podchwytuje Czyżewicz.

— Rzadko, ale tylko w tym stanie stawała się rozmowna i skłonna do zwierzeń.

A w ogóle to była bardzo rozsądna : praktyczna osoba, zapewniam pana.

— Chciała pani powiedzieć, że pod wpływem alkoholu traciła rozsądek?

— Zdarzało się?

— Od jak dawna Iza Białoń była u państwa, skąd przyszła? — Czyżewicz wraca do konkretów.

— Była u nas... Boże! B y ł a — Maria unosi dłoń do skroni. — Od dwóch lat, przyszła z ogłoszenia w październiku 72 roku. Poprzednio pracowała u pani L. — pada nazwisko znanej aktorki. — Miała znakomite referencje, zresztą rozmawiałam z panią L., bo czasami w referencjach pisze się niekoniecznie to, co naprawdę jest... Pani L. szczerze jej żałowała i zupełnie nie rozumiała, dlaczego Iza zrezygnowała z pracy u niej. Po prostu dziewczyna wymówiła i odeszła, nie podając przyczyn.

— Dała jej pani lepsze warunki?

— No... może nieco lepsze — przyznaje Olanska z ociąganiem. — Nie, nie podkupiłam jej, jak pan zdaje się sądzić, kapitanie, chociaż nie byłoby w tym nic dziwnego, bo o dobrą pomoc domową jest niesłychanie trudno. A Tza okazała się bardzo sumienną i rzetelną pracownicą. Zresztą była równie zadowolona z nas, co i my z niej. Ostatnio zarabiała dwa i pół tysiąca miesięcznie, miała unormowane godziny pracy, pełne utrzymanie, dwa tygodnie urlopu i gratyfikacje z różnych okazji, czy to mało? Miała także własny pokój, proszę, niech go pan obejrzy!

— Chodźmy — podnosi się kapitan. — Muszę zabrać jej dokumenty. Pana — zwraca się do Łukasza — proszę jako świadka przeszukania.

— Proszę tędy — prowadzi Olanska niech pan nie myśli, to nie jest jakaś klitka.

Do pomieszczenia zajmowanego przez Izę wchodzi się przez mały korytarzyk zaraz przy głównym wejściu.

— Tu kąpielowy — Olanska zapala światło i z rozmachem otwiera pierwsze drzwi; łazienka lśni glazurą i idealną czystością.

Na szklanej półce nad niklowymi kranami bardzo ładne przybory do mycia, bateria kosmetyków, komplet do manicure. kilka flakonów lakieru do paznokci. Całość tchnie pedantycznym porządkiem i być może dlatego właśnie kapitan zwraca uwagę na laseczkę ałunu w uchwycie z złotego metalu, pozostawioną na umywalce.

Czyżewiczowi kojarzy się ten ałun ze świeżym lakierem na paznokciach Białońów ny. „Skaleczyła się robiąc manicure i użyła ałunu do zatamowania krwi, lecz nie odłożyła go na półkę.

Czy myśli się o takich drobiazgowych zabiegach toaletowych przed odebraniem sobie życia? Jak to miało być, przygotowuje żyłki, jakąś truciznę i spokojnie opiłowuje paznokcie, dobiera lakier pasujący do barwy breloka spinającego bransoletkę?

Podczas daktyloskopowania technik nie zauważył skaleczenia na rękach dziewczyny; co prawda drażnienia oązkami mógł nie dostrzec. Daktyloskopia to przecież tylko opuszki palców. Jeśli jednak używała niedawno ałunu, w laboratorium potrafią to stwierdzić.

Pokój Izy: perłowe tapety, jednokolorowy dywan, dobrany w kolorze do ścian, meble z jasnego jesionu. Telewizor, radio — ani jednej książki, ani śladu jakiegos pisma. Na tapczanie, jak wyjęte z innego tła, panoszą się dwie olbrzymie lale: Pierrot w atlasowym kimonie z czarnymi pomponami i Colombina w sukni rozłożystej jak czasza parasola.

— To ulubione maskoty Izy, jej zdaniem bardzo eleganckie — z przekąsem podkreśla Maria i otwiera ścienną szafę, nabita garderobą.

Andrzej zagląda do szuflad; ścinki materiałów, przybory do szycia, pończochy, chustki do nosa, apaszki, rękawiczki. Spod sterty pościelowej bielizny wyluskuje jakiś papier i sfatygowaną książeczkę PKO; gęsto w niej od wpisów i zastanawiające saldo, około dwustu tysięcy złotych.

— Oszczędzała? — Czyżewicz pyta powściągliwie Olanską, chowając książeczkę.

— Pewno coś tam oszczędzała — niechętnie przyznaje Maria. — Przecież u nas miała wszystko, to mogła sobie odłożyć.

Andrzej zabiera dowód osobisty Białoniówny i kalendarzyk znaleziony w torebce.

— Co zrobić z jej osobistymi rzeczami? — dowiadyuje się Maria.

— Zna pani jej rodzinę? — Olanska wspomina o rodzicach. — Oddać rodzicom — decyduje Andrzej i opuszcza pokój; nurtuje go ta pokaźna suma na koncie gosposi.

— Zapewniliśmy jej naprawdę dobre warunki — podkreśla Olanska. — O takich nie mogła nawet marzyć w tych swoich Rosławicach pod Mławą. Tam się urodziła. Była najstarsza z siedmiorga rodzeństwa. Mając siedemnaście lat ledwie dojrzała do szóstej klasy szkoły podstawowej. Wtedy uciekła z domu i przyjechała do Warszawy. Zanim trafiła do pani L., zmieniła kilka domów.

— Często jeździła do Rosławic?

— Niezbyt. Ale już gdy się wybrała, to kupowała prezenty, ubierała się w najlepsze rzeczy, chyba nie przyznawała się, że jest pomocą domową. W tym roku zrobiła nawet prawo jazdy i już było umówione, że na Boże Narodzenie pojedzie do domu moim wozem, bo Norbert nie chciał jej pożyczyć swojego.

— I państwo godziliście się z tymi wszystkimi wymaganiami? — dziwi się kapitan Czyżewicz.

— Iza była uczciwym człowiekiem, można było cały dom powierzyć jej pieczy, a to ma wielkie znaczenie. Ja chętnie pożyczylabym jej cadillaca, aby zadała szyku przed rodziną, ale Norbert się uparł. Uważał, że my z mamą nie umiemy postępować ze służbą, ale on nie rozumie, jak w Warszawie trudno o dobrą pomoc domową.

— Zastąpiłem tu pana Łapińskiego — zmienia temat kapitan; Marii to nie dziwi.

— Przyjaciół mojej matki, zadowolony u nas od lat — wyjaśnia.

— Wspominał o jakichś depresjach Białoniówny i o chłopcu Izy.

— Depresje? Nie zauważyłam, chociaż istotnie coś się popsło między nią a tym

jej chłopcem. Nie taki znów z niego chłopiec, ma chyba ze trzydzieści lat. Elektryk lub maszynista w objazdowym teatrze, nie jestem zresztą pewna, ale coś w tym rodzaju.

— Przychodził tutaj?

— Oczywiście. W swoim pokoju Iza była u siebie i miała prawo przyjmować swoich znajomych. Naturalnie czuwaliśmy, aby nie sprowadzała byle kogo, nie było to nam obojętne, tak ze względu na nią, jak i na nas. Tyle się słyszy o kradzieżach, włamaniach z przyczyny niestosownych znajomości. Ale Adam Kornacki jest przyzwoitym człowiekiem.

— Dawno go poznała?

— Nie wiem dokładnie, gdzie i kiedy. Od jakiegoś czasu zaczęła się bardzo stroić, no i przepadała na całe wieczory. Przez te siedem lat pobytu w Warszawie nabrała trochę ogłady i pierwsze wrażenie sprawiała korzystne, niebrzydka i dobrze ubrana. Jednak po bliższym poznaniu to była dziewczyna nieciekawa i na dobrą sprawę inteligentny człowiek nie miał z nią o czym mówić.

— Państwo zasięgali opinii o tym Kornackim?

— Czy to pana dziwi?

— Nie. Dziwi mnie raczej, że pani nie pamięta, gdzie on pracuje.

— Bo to załatwiała moja mama, ona powie panu dokładnie, jeśli to pana tak interesuje.

A więc rzucił ją mężczyzna — myśli przysłuchujący się Łukasz i przypomina sobie ironiczne słowa Izy: „Jestem kuchcią i także się truję, tylko nie esencją octową i nic przez strażaka”.

— Czy Iza mówiąc o sobie używała określenia: kuchta? — pyta głośno.

— Nie, nigdy i jak sądzę, mocno by się obraziła, gdyby ktoś ją tak nazwał. Ale co panu przyszło do głowy? U nas w domu nigdy i nikt jej tak nie nazywał ani tak nie traktował... Czy się rozstała z Kornackim, nie wiem, może było to przejściowe nieporozumienie? Iza bardzo powściągliwie mówiła o swoich sprawach, zwłaszcza intymnych. A jeśli już się z czegoś zwierzyła, to prędzej mojej matce niż mnie.

— Białoniówna była ubrana w wieczorową suknię z czegoś takiego szeleszczącego, w takie słoje... — płacze się Czyże- wicz.

— To mora — wyjaśnia Olanska — specjalny gatunek tafty.

— Nie o to chodzi — kapitanowi jest najzupełniej obojętna różnica między morą a taftą. — Czy suknia i koronkowy szal należały do niej?

— Oczywiście! Sama jej dobrałam i kolor, i fason — Olanska podkreśla ten fakt z babską satysfakcją. — Ale dlaczego to pana tak dziwi?

— Nie dziwi, tylko chciałem się upewnić, bo medalion, który miała na szyi, zdaniem pana Łapińskiego nie był jej, lecz pani matki.

— Medalion?! — reakcja Marii Olan- skiej jest tyleż gwałtowna, co i niezrozumiała. — O Boże!

— Nic z niego nie zginęło — uspokaja ją kapitan, zaskoczony wybuchem. — Wewnątrz znaleźliśmy fotografię i włosy dziecka.

— Lok mego dziecka na piersi trupa, trupa samobójcy — szłocha Maria; trzęsie się jak w febrze, półprzytomna ze strachu.

Dwaj młodzi mężczyźni, prawnik i psycholog, z całym swoim racjonalnym światopoglądem są bezradni wobec pozarozu- mowej potęgi przesądu, któremu uległa ta kobieta.

— Lepiej byłoby, aby pani nie zostawała tu dziś sama. Dokąd wyjechała pani' matka? — troszczy się Andrzej.

— Do... Nałęczowa, nie trzeba jej niepokoić — szczęka zębami Maria. Jest w takim stanie, że kapitan nie stara się wyjaśnić, gdzie naprawdę przebywa Celina Wójcikowa.

— Kiedy wraca pani mąż?

— Pod koniec następnego tygodnia, ale proszę się o mnie nie martwić. Ja tylko muszę wyjść z tego pokoju, tu robię się kompletnie chora.

— Jeszcze drobna formalność... — Czy- zewicz prosi Olanską o dowód osobisty.

Maria Wójcik, urodzona 18 grudnia 1940 roku w Warszawie, panna... — spisuje jej personalia.

— Nie mam formalnego ślubu - z Norbertem — Olanska jest zażenowana.

— Pani stan cywilny mnie nie interesuje — Andrzej zwraca jej dowód.

Kapitan i Majewski żegnają się; Maria zamyka za nimi drzwi i z naroznego pokoju obserwuje widoczny stąd skrawek ogrodu, który tamci muszą przebyć; śle- dzi ich wzrokiem, gdy wchodzą w prostokąt światła padającego z okna i nikną za ogrodzeniem.

Stojący w salonie antyczny zegar wydzwania pierwszą po północy; Olanska przełącza telefon z salonu na hall i w tej samej chwili brzmi dzwonek u wejścia.

Norbert? — zastanawia się. — Matka? Niemożliwe, więc kto? — Znów przyspieszony rytm serca i fala leku: bezszelestnie podchodzi do drzwi, zagląda w wizjer i zaraz otwiera.

— Piotr! — wita go z ulgą.

Łapiński jest doszczętnie przemoczony, skostniałymi rękoma z trudem ściąga płaszcz. Maria zaprasza go dalej, lecz mija drzwi salonu i lokuje go w sąsiednim pokoju.

— Wypij! — nalewa mu koniaku; starszy pan mości się w fotelu, naciąga na nogi pled.

— Trzy godziny czekałem pod waszym parkanem — szczęka zębami. — Co o n i tu tak długo robili? Nalej mi do szklanki — odsuwa kieliszek — jeśli nie złapię lumbago, to będzie prawdziwy cud.

— Dlaczego nie czekałeś tutaj?

— Ten kapitan kazał mi odejść. Że też na mnie musiało to paść, właśnie ja musiałem być pierwszy. Co ja przeżyłem! Powiadam ci, wrogowi nie życzę! Przy- pięli się do mnie jak kleszcze, a co, a jak... a ja kręciłem, że niech Pan Bóg broni, aż zacząłem się gubić...

— Nie rozumiem, dlaczego musiałeś kręcić, ale o co właściwie pytał się kapitan?

Łapiński wiernie powtarza, a Marii znów zaczynają dygotać dłonie.

— ...i dzwonił do Nałęczowa, a tam twojej matki n i c ma! Zgrzyłem się strasznie. Marysiu, nic jestem przesądny,

ale nieszczęścia, odpukać, chodzą w parze.

— Przestań mówić głupstwa.

— Marysiu, bo ty jeszcze wszystkiego nie wiesz! Ja widziałem twoją matkę w niesłychanie dwuznacznych okolicznościach i to t u t a j, w Warszawie... — Piotr Paweł jest bardzo przejęty; tego wieczoru zobaczył Celinę Wójcikową, jak przemyciała się Nowogrodzką, co już samo w sobie było dość niesmaczne, ale do tego jej głowa! Bo poza tym starsza pani odziana była nawet szykownie. Miała na sobie znany mu skądinąd futrzany płaszcz z brązowych norek, ściągnięty w talii brązowym paskiem, nogi zaś w najmodniejszych bucikach typu kozak doński, lan- sowanych w tym sezonie przez Paryż, też były bez zarzutu. Tylko ta głowa!

Otóż na głowie miała mamusia kapelusze z olbrzymim rondem, głęboko wciśnięty na czoło, spod tego kapelusza wystawały bujne włosy, zakrywające policzki i sięgające ramion. A jakby tego wszystkiego jeszcze było mało, oczy miała całkiem zasłonięte ciemnymi szklami. Pomyśleć, listopadowy wieczór, a ona w przeciwsłonecznych okularach! Z jej twarzy widoczna była tylko broda, a i to nie bardzo, oraz kawałek nosa.

Pio: r Paweł, choć wstrząśnięty, jednak wiedziony delikatnością uczuć nie naraził przyjaciółki na kłopotliwe w tej sytuacji spotkanie, tylko cofnął się dyskretnie, co sprawiło, że nie skrzyżowały się ich drogi. Ale musiał zobaczyć, dokąd kroczy mamusia. A ona zniknęła w hotelu Forum!

Więc co ma sądzić o kobiecie, bądź co bądź w latach, z pozoru statecznej matce i babce, nie mówiąc już o Piotra Pawła uczuciach, która zamiast leczyć skołatanę serce w Nałęczowie — gdzie rzekomo przebywa od dni dziesięciu — lala wieczorami p q 0

Warszawie w kowbojskim kapeluszu i młodzieżowej peruce — bo przecież przez dziesięć dni włosy nie urosły jej do pasa — i w ekscentrycznych szklach dobrych na plażę. Piotr Paweł doprawdy nie wie, co o tym sądzić.

Nie puścił farby przed milicją, bo nie miał serca pogrążyć długoletniej przyjaciółki, już wolał raczej na siebie skierować podejrzenie, co też się stało, ale nie mogąc skomunikować się z mamusią, zwierza się córce, co czyni niechętnie i z przykrością, bo rozumie jej położenie.

— Kiedy ją widziałeś? — Maria cierpliwie wysłuchiwała tyrady i nie wydaje się poruszona donosem Łapińskiego.

— Dziś, to znaczy wczoraj około siódmej — prostuje Piotr Paweł, słysząc, jak zegar wybija drugą.

— Celina jest w Nałęczowie, wieczorem rozmawiałam z nią telefonicznie. Mieszka prywatnie i dlatego twoja kartka wróciła z „Jaskra”.

— Tak bym się omylił? — Piotr Paweł jest zbity z tropu. — Jednak nieładnie, zmieniła adres i nie zdobyła się na to, aby mnie powiadomić? — rozgorycza się na starszą panią.

— Znasz ją, notorycznie nie pisuje listów, do mnie też nie skreśliła nawet słowa! Nie chowaj urazy, teraz jak nigdy potrzebuję przyjaciół! — Maria tłumi łzy. Piotr Paweł sam sobie wydaje się łądkiem.

— Rozporządzaj mną, moje dziecko — Łapiński czuje się jedyną podporą Marii. — Mam tu zostać?

— Musisz iść zaraz do domu — decyduje Olanska. — Kapitan Czyżewicz zapowiedział się na rano — kłamie gładko — nie powinien cię tu widzieć; po tych twoich krętaństwach gotów pomyśleć, że jesteśmy w znowie.

Maria z ulgą zamyka drzwi za przyjacielem domu; wykręca numer hotelu Forum, zgłasza się recepcja i łączy ją z żądanym wewnętrznym. Długo rozbrzmiewa sygnał, zanim słyszy zaspane i rozdrażnione :

— Słucham?

— Masz sen jak drwal! — mówi z pretensją, ta chwila oczekiwania znów wytrąciła ją z równowagi.

— Czyste sumienie daje zdrowy sen — ostatnie słowo ginie w potężnym ziewnięciu.

— Przestań, do diabła, gadać o sumieniu! ■ krzyczy Maria. — Iza popełniła samobójstwo!

Celina Wójcikową natychmiast zjawia się w domu. Maria z płaczem rzuca się jej w ramiona. Starsza pani zdążyła się już opanować i jest jak opoka. Spokojnymi, rzeczowymi pytaniami wydobywa z córki przebieg wydarzeń.

— Bóg położył palec na tej dziewczynie — oświadcza z namaszcczeniem.

— Nie zasłaniaj się Bogiem — denerwuje się Maria.

— Jesteś hipokrytką. Nie żałuję tej dziewczyny, ty także jej nie żałujesz, tylko ja mani odwagę powiedzieć to głośno — niezłomnie ciągnie maika. — No, dość tego! Nic więcej nie gadała, nic opowiadała przed

śmiercią, tylko ten bełkot? A swoją drogą nie posądzałam jej o taką swadę! Pewno się upiła...

— Wypiła prawie całą butelkę szkota — donosi Olanska.

Skaranie boskie! Zawsze mówiłam, żeby zamykać barek... Jednak czy to możliwe, aby zawięła się ot tak, bez jednego sensownego słowa? Może gdzieś wetknęła list, słuchaj no, przejrzałaś jej rzeczy?

— Nie przyszło mi to do głowy.

— No pewno, gdzieś byś o tym pomyślała, od praktycznych spraw masz matkę. Jeszcze dziś trzeba przeskukać jej pokój, słyszysz?

— Milicja zrobiła to dokładnie, in same; łazience we trzech siedzieli przeszło godzinę. Gdyby coś było, tylko by mi przeszkadzał, ale dlaczego pytasz?

— A jeśli oni jednak coś znaleźli? — martwi się starsza pani. — Tobie można spod nosa zabrać i nie zauważysz.

• A propos, gdzieś ty zostawiła swój medalion?

— Chyba w hallu na skrzyni pod lustrem. bo przypomniałam sobie o nim dopiero na wychodnym i nie miałam już czasu wracać na górę. Zostawiłam, bo tylko by mi przeszkadzał, ale dlaczego pytasz?

— Wiesz, gdzie był?... Ona go miała na szyi!!!

— Wielkie mecyje... — na starszej pani wiadomość ta nie robi wrażenia, natomiast martwi ją Łapiński. — Złośliwość losu uzala się — żeby w milionowym mieście nie kto inny, tylko właśnie ON zobaczył mnie w tym przebraniu! Ile jest od Forum na Nowogrodzką, no ile? Dwieście metrów. Pomyśleć, wychodziłam raz dziennie — i właśnie on na tych dwustu metrach!

— Kapitana Czyżewicza także bardzo zdziwiła twoja nieobecność w Nałęczowie.

— Nie kapitana Czyżewicza interes, czy to Nałęczów, czy Forum, mnie zależy na Łapińskim. Dla niego jestem w Nałęczowie, rozumiesz? Cholera, będę musiała kryć się we własnym domu.

— A gdybyś mu jakoś ogłędnie powiedziała?

— Zwariowałaś, wołałabym umrzeć!

— Jak ty możesz w takiej sytuacji myśleć tylko o sobie!

— Wystarczająco długo myślałam tylko o tobie, a teraz będę dbała przede wszystkim o własne interesy i nikt mi w tym nie przeszkodzi! Lata minęły, zanim w mówiłam Łapińskiemu, że żyć beze mnie nie może i teraz miałabym ryzykować? Młodsze nie potrafią złapać chłopa, a cóż dopiero taka landara jak ja! Oblaskawiłam go, przywiązałam i nie mam zamiaru rezygnować. Do cna zbrzydł mi już etat teściowej tego kanadyjskiego skapiradła. Jak tylko skończy się ten kram z powodu Izy — też nie miała się kiedy wybrać — przenoszę się do Piotra Pawła. Boże! Jak mi nadojadło całe to strażowanie, dopiero teraz czuję i zupełnie nie wiem, jak mogłam to znosić przez okrągłe dwa lata. Jestem wolna, w o l n a !

Czyżewicz żegna się z psychologiem, razem z technikiem i fotografem wraca do komendy. Dyżur operacyjny kończy mu się dopiero o ósmej rano.

— W dzielnicy spokój — mówi na jego widok kolega, odkłada książkę i prostuje ramiona; porucznik Marian Józefczyk pełni służbę razem z Andrzejem. — Dlaczego nie zadzwoniłeś po wóz?

— Chciałem się przejść — kapitan otwiera walizkę śledczą. Wykłada na biurko plastikowy woreczek z laseczką ałunu zabraną z łazienki Izy. Wystukuje na maszynie metryczkę: ałun ze śladami krwi, zakwestionowany na miejscu samobójstwa Izabeli Białoń, akta Nr... — numer ewidencyjny sprawa otrzyma rano, gdy wszczęcie dochodzenia odnotuje sekretariat w swoim rejestrze.

Podobnymi metryczkami opatruje butelkę; kieliszek i trzy żyłki znalezione na stoliku obok telefonu. ■

Przegląda dowód osobisty: Izabela Białoń, córka Bronisława, urodzona w Rosławicach, powiat Mława, dnia 14 sierpnia 1950 roku — niezamężna. Adnotacja 0 zatrudnieniu: pomoc domowa. W rubryce zameldowania pięć adresów.

Wsunięte w dowód kwity to ko piąty zamówień na materiały budowlane — cement, szkło specjalne, zbrojenie — zamówień złożonych przez Izę Białoń w PZGS w Mławie. Jest także pokwitowanie tegoż PZGS: zlecenie przyjęto, przypuszczalny termin dostawy — drugi kwartał 1975. Tytułem zaliczki pobrano sumę trzydziestu pięciu tysięcy złotych. Data, stempel, podpis.

Książeczka PKO została założona 17 czerwca 1970 roku w Warszawie i tegoż samego dnia odnotowano pierwszą wpłatę w wysokości trzydziestu tysięcy złotych. W lipcu, sierpniu i wrześniu tegoż roku Białoniówna podejmowała raz na miesiąc po sześćset złotych w urzędzie pocztowym w Rosławicach.

Od maja 1971 do września 1972 roku systematycznie lokowała co miesiąc po tysiąc złotych. Pod koniec października 1972 roku wpłaciła pięć tysięcy złotych

I odtąd ta suma powtarza się w każdym miesiącu niemal przez dwa lata, aż do lipca 1974 roku; w sierpniu, wrześniu i październiku 1974 roku miesięczne wkłady skurczyły się do dwóch i pół tysiąca złotych.

W sierpniu 1973 roku wpłaciła jednorazowo dziesięć tysięcy złotych, w marcu, sierpniu i grudniu 1973 oraz w marcu i sierpniu 1974 roku poza regularną wpłatą dodatkowo po pięć tysięcy złotych i jeszcze pięć tysięcy złotych między marcem a kwietniem.

Od maja 1971 roku nie podjęła ani złotówki; stan jej oszczędności wraz z odsetkami wynosi ponad dwieście tysięcy złotych. Ostatniej wpłaty, dwa i pół tysiąca złotych, dokonała pod koniec października 1974 roku — w listopadzie zmarła.

Suche cyfry, daty i stemple, za którymi kryją się cztery lata życia Izy Białoń.

— Marian, odłóż czytanie, chodź tu.

Porucznik wydobywa się z głębokiego klubowca. Czyżewicz dzieli się z nim swoimi spostrzeżeniami.

— W dowodzie jest pięć adnotacji o zameldowaniu, pięć adresów, gdzie pracowała Iza. Pierwsze dwa najmniej mnie interesują, obejmują lata 1968—1969. Natomiast trzeci zasługuje na uwagę. Ulica Szaserów, stamtąd wymeldowała się w czerwcu 1970 roku, a siedemnastego czerwca wpłaciła na książeczkę trzydzieści tysięcy.

— Może jakieś rozliczenie z rodzinnej schedy czy też substytut przypadającego jej majątku, wypłacony przez rodziców lub rodzeństwo w rezultacie działań — ocenia porucznik. — Należy wyjaśnić w Rosławicach lub w hipotece w Mławie.

— Czwarły adres — podejmuje Czyżewicz — ulica Topolowa pojawia się w październiku 1970 roku, wymeldowała się stamtąd we wrześniu 1972. Biorąc pod uwagę informację Olanskiej, należy przyjąć, że to okres pracy u aktorki Ilony L. W ciągu tych dwóch lat Iza zaoszczędziła siedemnaście tysięcy złotych.

- Siedemnaście tysięcy przez dwa lata, jeśli ma się przy tym zapewnione utrzymanie, można uskładać nawet z bardzo skromnej pensji.

— Piąty i ostatni adres: Olanscy, Saska Kępa, ulica Koralowa. Zameldowana w październiku 1972 roku i zaraz w tym samym miesiącu wpłaca na książeczkę pięć tysięcy złotych. Odtąd ta suma powtarza się systematycznie co miesiąc aż do lipca 1974 roku, a od sierpnia maleje do dwóch i pół tysiąca. Następnie jednorazowe lokaty. W sierpniu 1973 roku dziesięć tysięcy złotych, w marcu i sierpniu 1973 i 1974 roku po pięć tysięcy złotych, w grudniu 1973 roku pięć tysięcy i jeszcze dwie wpłaty poza regularnymi wpływami, w końcu marca 1973 i na początku kwietnia 1974 roku, także po pięć tysięcy złotych.

— Plus trzydzieści pięć tysięcy zaliczki do kasy PZGS — uzupełnia porucznik.

— W sumie podczas czterech lat zgromadziła około ćwierć miliona, a przeważającą część tych pieniędzy w ciągu lat dwóch.

— Andrzej, śmieszna sprawa — porucznik ogląda dowód Białońowy — ona urodziła się w s i e r p n i u ! W książeczce zaś powtarzają się wpłaty w marcu i sierpniu. Otrzymywała te piątki w prezencie?

— A dziesięć tysięcy to także prezent?

— Ta dycha psuje mi ładną koncepcję — przyznaje Marian. — Ale co mamy w marcu? Święto Kobiet oczywiście!

— Święto jest ósmego, a wpłaty były dokonywane po szesnastym — Andrzej mimo woli daje się wciągnąć w tę zabawę. Porucznik kartkuje kalendarzyk. ^

— Proszę bardzo! Szesnastego marca: Hilarego i Izabeli — odczytuje z triumfem. — Kioś obsypywał ją forszą z okazji urodzin i imienin — pokpiwa, bo sam nie wierzy w taką możliwość.

— W grudniu jest Boże Narodzenie, a między marcem i kwietniem bywa Wielkanoc — śmieje się Andrzej. — W ten sposób da się usprawiedliwić jeszcze dwadzieścia tysięcy, a reszta?

— Ciemna sprawa, Andrzej — poważnieje porucznik. — Stary, te pieniądze mogą pochodzić z przestępstwa. I czy nie tu należy szukać motywów?

— Jeszcze raz muszę przejrzeć jej rzeczy — Czyżewicz wyrzuca sobie, że w nocy zrobili to zbyt pobieżnie.

Z rana idzie do Olanskich. Otwiera Maria; niespodziewany widok kapitana budzi w niej niepokój. Andrzej to dostrzega, co jeszcze bardziej potęguje jej zdenerwowanie.

— Celina! Przyszedł kapitan — woła donośnie, zadzierając głowę ku górze. Andrzejowi wydaje się, że jej głos brzmi jak wołanie o ratunek. .

— Zaraz — sływa z mrocznego szczytu schodów i Czyżewicz dopiero teraz pojmuje, kogo przyzywa Maria. Dziwi go, jak szybko odnalazła się starsza pani.

— Muszę jeszcze raz obejrzeć pokój Izy Białoń — zawiadamia Marię. — Jeśli czegoś będę potrzebował, to panią poproszę — pozbywa się jej asysty.

Kapitan rozgląda się i zaraz ogarnia go nieodparte wrażenie, że pokój był przeszukiwany po jego pierwszej bytności. Nie, żadnego bałaganu, a jednak zdradza to wiele, z pozoru mało istotnych, szczegółów. Chociażby te dwie lale na tapczanie, upozowanc w inny sposób, inaczej ułożona olbrzymia krynolina Colom-biny.

Czego one tu szukały? — zastanawia się Czyżewicz, zły na siebie za tamie fatalne oględziny. Starannie, choć bez nadziei na znalezienie czegoś interesującego, przegląda pokój. Zajmuje mu to sporo czasu; po godzinie rozlega się pukanie, zagląda Maria.

— Mamy czekać? — niespokojnym spojrzeniem omiata wnętrze. — Powinnam jechać po małego... Wezwana w nocy, pozostawiłam śpiące dziecko na opiece obcych ludzi.

— Nie zajmę wiele czasu, tutaj już skończyłem — Czyżewicz wraca z Olan- ską do salonu.

— Wójcikowa jestem — podnosi się na jego widok postawna niewiasta, podaje mu upierścienioną dłoń.

Matka rodu wygląda fatalnie! Sylwetka wprawdzie w porządku, modna spódnica w szkocką kratę w najlepszym gatunku, a moherowy sweter dobrany w kolorze; jeszcze pół biedy, że jego golf zakrywa cały podbródek i chyba opiera się o uszy, ale dalej! Strzecha bardzo gęstych, prostych i długich włosów z grzywą sięgającą olbrzymich przeciwslonecznych szkieł. Reszta twarzy mamusi, między brzegiem kołnierza a krawędzią okularów, budzi grozę! To jeden wielki siniec, który wprawdzie już gdzieniegdzie zmienił barwę z fioletu na purpurę biskupią, a po brzegach na zielonożółta, nie ulega jednak wątpliwości, że są to wielkie krwawe wybroczyny i nie maskuje ich nawet gruba warstwa pudru.

— Napije się pan koniaku? — pytanie jest retoryczne, mama jest już, przy komodzie mieszczącej barek.

K'o ją tak urządził? — docieka Andrzej udając, że widok mamusi w ogóle go nie poruszył.

— Marysiu! — Wójcik owa zastyga nagle z butelką w rękę. — Gdzie się podziały trzy kieliszki z kompletu? Ilaz, dwa, trzy... - liczy głośno — oczywiście, jest t y l k o dziewięć! Skaranie boskie z wami, ile razy mam powtarzać, aby nie ruszać kryształów, są takie kruche.

— Mamo, czy to odpowiedni moment...

— Chcę wiedzieć, gdzie zniknęły t r z y kieliszki po trzysta sześćdziesiąt, złotych sztuka!

Andrzej dobrze pamięta swoje zaskoczenie, gdy Maria, częstując ich w nocy koniakiem, nie tknęła zastawy w barku, tylko przyniosła kieliszki z kuchni, i jeszcze przypomina mu się ten, z którego po raz ostatni piła Iza, ale nie wspomina Wój- cikowej, że jeden z trzech brakujących badają właśnie w zakładzie kryminalistyki.

Naprawdę zginęły stąd dwa kieliszki... — medytuje. — Od kilku dni poza Izą nikogo w domu nie było; j e j goście potłukli kryształę? A jeśli zniszczono tu jakiś ślad czy chociażby tylko wskazówkę? Przychodzi mu na myśl Piotr Paweł. — Czy aby na pewno poza gospożą nikogo tu nie było? Tak twierdzą z a i n t e - r e s o w a n i .

Albo fakt jest jeszcze prostszy: potłukł ktoś z domowników i nie wspomniał, by uniknąć gderań pani starszej.

— Jeśli nie przestaniesz — strofuje matkę purpurowa ze wstydu Maria — jeśli zaraz nie przestaniesz, to w tej sekundzie wytłukę resztę! Siadaj — starsza pani potulnieje i posłusznie mości się w fotelu. Maria stawia te cenne kieliszki i nalewa koniak.

— Właściwie po co ja się wtrącam? Możecie nawet rozgrabić cały dom! — obraża się skarcona mamusia.

— Przykro mi za ciebie, mamó — mówi cierpko Maria. — Znalazłaś sobie porę na liczenie kryształów! Kapitana b a r d z o interesuje pan Kornacki, natomiast ja nic bliższego nie umiałam o nim powiedzieć Czyżewicz odnosi wrażenie, że Olanskiej szczególnie zależy na sprowokowaniu rozmowy o Kornackim.

— Ty nigdy o niczym nie pamiętasz — Wójcikowa wysapuje urazę. — Kornacki jest elektrykiem w objazdowej scenie Estrady — ożywia ją jednak ten temat. — Mieszka na Piaskach, niedawno otrzymał tam kawalerkę, telefonu w domu nie ma, bo to nowa dzielnica i są trudności z założeniem aparatu...

Andrzeja nie przestaje intrygować nagle pojawienie się starszej pani i do tego z tak koszmarne skancerowaną buzią; chętnie *by* usłyszał, skąd wróciła i co ją spotkało, ale na razie nie znajduje pretekstu, a nie chce pytać wprost.

— U kogo zasięgała pani opinii o Kornackim? — podejmuje narzucony temat.

— W kadrach, nadzwyczaj miła osoba ta personalna, też ma dorosłą córkę i wybiera się na rentę... U kierownika technicznego... Rozmawiałam także z impre- sariem „Varietés”, tak się nazywa ta ruchoma scena, ale co oni tam wiedzą: pracuje, nie spóźnia się, nie karany, koleżeński — przedrzeźnia. — A impresario powiedział: „Owszem, porządny dziwny, lecz bardzo możliwe, że się wreszcie ożeni i to nawet z pani córką”.

— Dlaczego z córką? — nie rozumiał Andrzej.

— Bo przedstawiłam się jako ma.ka Izy... Co pan tak patrzy? Matce prędzej powiedzą prawdę niż obcej osobie. A : tak Kornacki zrobił mi dziką awanturę, bo podobno ten impresario rozpowiadał, jakoby Kornackiego ściagała teściowa o alimenty czy jakieś inne głupstwa. Ośmieszał go.

— Iza wiedziała o pani inicjatywie?

— Nniee... Ale jak się wszystko wydało, to nawet nie miała wielkich pretensji. Przynajmniej dowiedziała się, jak sprawy stoją, zrozumiała, że Kornacki to żadna przyszłość, i wtedy on przestał do nas przychodzić.

— Iza chciała wyjść za mąż?

— Pytanie! Każda chce i po to zadaje się z mężczyzną. A ona miała już swoje lata i rozglądała się za mężem. Zwyczajnie.

— Straciiiby państwo dobra gospodynię.

— A cóż by to zmieniło? — nieszczerze dziwi się Wójcikowa. — Godziny pracy i tak miała normowane, najwyżej mieszkałaby u męża.

— Po zamążpójściu mogłaby zrezygnować.

— Wielkie rzeczy, za taką pensję zawsze można znaleźć inną — przerywa Wójcikowa. — Ale domyślam się, do czego pan zmierza. Świadomie popsułam między nimi, aby zatrzymać Izę. Bzdura! Proszę zapytać Kornackiego! Chyba będzie dość uczciwy, aby powiedzieć panu prawdę.

— Iza przyszła do państwa od pani L. — upewnia się Andrzej. — A dokładnie od kiedy podjęła u was pracę?

— W październiku 1972 roku, już pan 0 to pytał — przypomina mu Maria. — Przyszła z ogłoszenia, płaciłam jej dwa

1 pół tysiąca złotych miesięcznie, to także wyjaśniłam.

— Czy oprócz pensji otrzymywała jakieś gratyfikacje pieniężne?

— Prezenty owszem, lecz nie pieniądze. Sukienkę lub materiał, pantofle... Ostatnio oddałam jej swoje futro — objaśnia pani starsza. - - Karakuły! Oczywiście stare. Przerobiła je, wytarte miejsca podreperowano świeżą skórą i wygląda prawie jak nowe. Może pan zobaczyć.

--- Jakie miała źródła dochodów oprócz pensji? — dowiadyuje się Czyżewicz. Kobietom nic o tym nie wiadomo. — Czy otrzymywała pieniądze z domu?

— Ciągnęła do domu, ale nigdy nie zdarzyło się, aby coś stamtąd dostała — kostycznie uśmiecha się Wójcikowa.

— To niezamożna rodzina, wielodzietna — łagodzi Maria.

— Przez dwa lata pracy u państwa Iza zaoszczędziła blisko dwieście tysięcy złotych — informuje Andrzej.

— Ile?! — wykrzykuje wzburzona Wójcikowa. — Pan się nie myli? Skąd ona wzięła taką sumę?!

Maria z dziwnym wyrazem twarzy przygląda się swej matce.

— Jak to się nic nie wie o człowieku — przynosi spódnice na kapitana.

— Panie nie wiedziały, że ona systematycznie oszczędza?

— Systematycznie? — powątpiewa O- lanska.

— Osobiście nie interesowałam się tym, zresztą ona swoje rzeczy trzymała pod kluczem — niechętnie wspomina Wójcikowa.

Pani starsza nie sprawia wrażenia osoby pozbawionej takich zainteresowań, wręcz przeciwnie. A do tego — myśli Andrzej — tej nocy książeczka nie była zamknięta ani zbyt przemyślnie ukryta. Jednak bardzo możliwe, że tak się zdarzyło tylko tej nocy.

— W żadnym razie nie oceniałam jej na takie pieniądze — nie może darować Wójcikowa. — Jakies groszowe oszczędności. no to tak... Wie pan. ona bardzo dużo wydawała na stroje, nawet papierosy paliła po dwanaście złotych paczka, szastała pieniędzmi, jakby zarabiała krocie. Rozrzutna!

— Tak, ona nie była skrzętna, miała gest dorobkiewicza — wtóruje mamie Olanska.

— Jeszcze jedno — błyska lustrzanymi szklami Wójcikowa — pan jest bardzo taktowny, ale w tej sytuacji wszelkie niedomówienia są nie na miejscu. Ja nie byłam w Nałęczowie, a ten safandula Piotr Paweł podobno wszystko poplątał. Nie trzeba mu tego brać za złe, on nie umie kłamać.

— Pani córka powiedziała to samo, dlaczego?

— A dlatego — Wójcikowa z determinacją zdejmuje okulary i ściąga ekscentryczną perukę; całą twarz pokrywają krwawe wybroczyny, miejscami tylko lekko pobladłe. Zapuchnięte powieki i oczodoły mają także barwę wątroby.

— Operacja kosmetyczna — ponuro oświadcza Celina. Energicznie nadziewa perukę i na powrót przysłania oczy szklami.

Skonsternowany Czyżewicz milczy.

— Pewno myślał pan, kto ją tak urządził — wisielczo uśmiecha się starsza pani. — Sama, młody człowieku, sama i to za piętnaście tysięcy złotych! — wprowadza kapitana w szczegóły.

Instytut chirurgii kosmetycznej ma wielu klientów i jeśli tak można rzec, małe moce przerobowe, toteż Celina Wójcikowa czekała na przyjęcie kilka miesięcy. Na korektę nosa czy uszu terminy są krótsze, a z oszpeceniami w ogóle nie obowiązują. Lecz ona musiała czekać, bo zabiegowi upiększającemu miała poddać całą twarz.

— Dziesięć dni temu zrobiono mi tę renowację... — miało to taki skutek, że musiała ukrywać się jak przestępca, bo zanim kunszt artysty rzeźbiącego w żywym ciele da właściwe efekty, ciało buntuje się i nie można bez wywołania powszechnej zgrozy pokazać się publicznie. Instytut uprzedza o tym lojalnie, zanim pacjentka podda się operacji odmładzającej. Dlatego starsza pani wymyśliła na użytek wszystkich znajomych, a szczególnie Piotra Pawła, Nałęczów i osłabione serce, które nawiasem mówiąc ma jak dzwon, zaś ulokowała się w najbliższym sąsiedztwie instytutu, czyli w hotelu Forum, bo po operacji musiała jeszcze uczęszczać na opatrunki.

Wszystko działa się w największej tajemnicy także przed zięciem i Izą; szczególnie przed zięciem, aby nic pomyślał, że mamusia dała się upiększyć za jego piętnaście tysięcy; o jej heroizmie wiedziała tylko córka.

— Według zapewnień instytutu po dwóch tygodniach miałam być młoda jak Faust — wzdycha dzielna niewiasta. — Co pan sobie myśli: o mnie, kapitanie, -to pańska sprawa, ale Piotr Paweł nie śmie wiedzieć, że jestem w domu. a nie w Nałęczowie. Przed panem musiałam się Ujawnić, chociaż Bóg świadkiem, jak mi ciężko, bo pan chociaż młody i milicjant, to też mężczyzna.

— Czy oprócz Kornackiego — Andrzej wysłuchał zwierzeń mamusi bez mrugnięcia okiem — Białoniówna miała jeszcze jakieś towarzystwo?

— Kiedyś spotkałam u niej chłopca w mundurze. Pytałam, powiedziała, że to syn sąsiadów z Rosławic, odbywa czynną służbę i jest przejazdem w Warszawie. Raz zajrzała matka...

— Dawno pani jest na rencie?

— Od czterech lat, od kiedy odeszłam ze szpitala, ale co to ma do rzeczy? — niepokoi się Wójcikowa.

— Nie pracując łatwiej było mieć nad nią kontrolę.

— Pan mnie ma za jakiegoś żandarma! — zachnęła się starsza pani. — Nie przesiadują bez przerwy w domu, mam swoje życie towarzyskie i nie ingerowałam w sprawy Izzy tak, jak to się panu wydaje.

— Czy zmienił pan poprzednią decyzję dotyczącą rzeczy Izzy? — nieśmiało wtrąca Maria. I na jego pytające spojrzenie. — ...bo myślałam, skoro pan znów je przeglądał, że...

— Proszę je oddać rodzicom.

— A propos rodziców... — włącza się starsza pani. — Będę zobowiązana za poinformowanie, kiedy można zająć się pogrzebem. Muszę ich zawiadomić, a nie chcę, aby nam siedzieli na karku w oczekiwaniu na tę przykrą ceremonię — kończy z brutalną szczerością.

Czyżewicz wychodzi od Olanskich z wrazeniem, że panie — tak z trudem panująca nad sobą Maria, jak i chłodna, rzeczowa Celina — pożegnały go z ulgą.

Po powrocie do komendy sprawdza, czy wysłano do laboratorium kryminalistycznego przedmioty zabezpieczone na miejscu wypadku. Wysłano — zadbał o to oficer, który objął po nim służbę.

— Andrzej, masz coś pilnego dla mnie? — zagłada Marian. — Bo jeśli nie, to idę spać.

— Idź. A jutro zasięgnij języka o Wójcikowej, bo poza ogólną wiadomością, że pracowała w szpitalu, niewiele o niej wiem.

— Podpadła ci pani starsza? — ziewa porucznik.

— Obie są niewyraźne, jakby coś miały na sumieniu... A stara pokroiła sobie twarz i wygląda jak upiór. Odmładza się, wyobraź sobie - - Andrzej dzieli się z porucznikiem swoją świeżo nabytą wiedzą z dziedziny chirurgii kosmetycznej.

Wreszcie obaj mogą pójść do domu.

W poniedziałek z samego rana Czyżewicz jedzie do Estrady — jako najpilniejsze zanotował sobie wywiady u aktorki Ilony L. i pani M. z ulicy Szaserów, trzeci chronologicznie adres z dowodu Białoniówny, rozmowę z Kornackim i wywiad w Rosła wicach. Zaczyna od elektryka.

W dyrekcji mówią mu, że rewia objazdową „Variétés” właśnie realizuje plan zabawiania województwa warszawskiego i zgodnie z grafikiem winna być w Pułtusku, lecz mogła już plan wykonać, wówczas prawdopodobnie będzie w Małkini, bowiem w listopadzie, jeśli ma wyrobić premię, musi objechać także województwo białostockie. Powrót „Variétés” spodziewany jest dopiero w pierwszej dekadzie grudnia; potem zespół wypoczywa aż do świątecznego programu.

Andrzej dzwoni do komendy powiatowej w Pułtusku i pyta o „Variétés”; jest, nawet ma powodzenie, bite komplety, więc przedłużyli występy o kilka dni.

Kapitan jedzie do Pułtuska. Kornackiego zastaje w sali widowiskowej, sprawdzającego urządzenia nagłaśniające przed popołudniowym spektaklem, bo „Variétés” daje i drugi — wieczorny.

Odwołuje elektryka na stronę, przedstawia się, Kornacki nie rozumie, czego od niego chce milicja. 10

— Sprawy administracyjne załatwia impresario, jeśli milicja ma jakieś zastrzeżenia...

— Mnie interesuje Iza Białoń, pan ją znał, prawda?

— Adasiu, skarbie — przerywa im mocno umalowana piękność — wczoraj dałeś za szj'bkie tempo nagrania, przecież ja tak nie śpiewam! Wyszło fatalnie, widownia nie odebrała nastroju, a ja nie mogłam nadażyć z markowaniem... Marzena, ta żmija, bębni teraz, że wyglądałam jak karp rzucony na piasek, zepsułeś mi numer i...

— Synchron był taki, jak chciałaś, tylko ty sama nie wiesz, czego chcesz, co dzień inaczej... Przepraszam cię, Marieta, ale jestem zajęty. Marzeną się nie przejmuj, ona tak z zawiści. Jesteś świetna, każdy to przyzna. Miałaś bisy? Miałaś.

— Adam, ja sama czułam się tak, jakbym miała jakiś kłapiący ryjek, a nie usta, nie czaruj! Jakim cudem publiczność nie zorientowała się, że szlagier leci z taśmy, to dla mnie zagadka...

— Adam... — dopada go druga.

— Nie przeszkadzaj, Jola, nie widzisz, że mam gościa? — opędza się Kornacki. — Tu nie sposób rozmawiać — rozkłada ręce; uprowadza Andrzeja z sali.

— ...z protekcji dostała dwa numery w tym programie i życie mi zatruwa — elektryk mówi o Maricie. — Wciąż jej się zdaje, że wróci jeszcze na wielką scenę, bo w czasach swej największej świetności udało jej się zagrać kilka ogonów...

Niemal wszystkie piosenki idą z taśmy, a na estradzie dziewczyny tylko markują śpiew i stąd te pretensje — zdradza Czyżewiczowi kuchnię „Varietés”.

To jedyny pewny sposób na objazdówki. Na magnet nagrywa się w studio, jest dobra aparatura, akustyka, warunki prawie idealne. Bo potem tygodniami w autokarze, po różnych, często nie opalanych, salach, lichych hotelach, dziewczuchy zakatarzone, zachrypnięte, jedna rozpacz! Co by to było, gdyby musiały wyjść i naprawdę śpiewać na scenie? No i przy tak napiętym planie, po dwa spektakle dziennie, zdarłyby głos po kilku dniach. A z taśmy — słowiki! Był tu przede mną elektryk, co kochał się z jedną pieśniarką. I jakoś tak tuż przed przedstawieniem chłopak dowiaduje się, że ona kocha się także z pewnym tekściarzem. Dziewczyna wychodzi na scenę, suknia z dzetami, na głowie stroik ze strusich piór, kuperkiem kręci, jak potrzeba, a co słyhać z taśmy? Leci aria toreadora! Publiczność ryczy ze śmiechu, a ta w płacz i dyla ze sceny. Elektryka wylano, a na dodatek ona podała go do sądu. Przysiadzimy w kawiarni? — proponuje Kornacki, gdy dochodzą do rynku.

— Mamy dwa kroki do komendy powiatowej, tam nikt nie będzie przeszkadzał.

— Jak pan woli — sztywnieje Kornacki.

Kapitan ponawia swe pytanie.

— Znam Iżę — przyznaje jakby z zażenowaniem Kornacki — ale dlaczego moje znajomości interesują milicję? — Jest wyraźnie zaniepokojony.

— Iza nie żyje.
— Rany boskie, co się stało, wypadek?!
— - Samobójstwo.
— Samobójstwo? Straszne! Ale... co ja mam z tym wspólnego?

— Był jej pan bardzo bliski, może najbliższy.
— Rozumiem — elektryk z niesmakiem przygląda się Czyżewiczowi — napuściła pana na mnie ta stara wiedźma, Wójcikowa! Kapitanie, nie przeczę, spotykałem się z Izą, ale bez żadnych zobowiązań. Poznałem ją na wyjeździe, byliśmy akurat w Mławie. W moich fachu człowiek się wyśpi do południa, a po spektaklu nie chce mu się spać. Co można robić wieczorami w takiej Chandrze Unyńskiej? Nie'ma wyboru: kawiarnia z fajfem, a potem nocny lokal. Wpadła mi w oko w kawiarni, poderwałem, zaprosiłem do hotelu, poszła bez oporów... No wie pan, jak się jest z dziewczyną przez całą noc, to się tam coś trąluje... Ona była tajemnicza, wspomniała tylko, że pochodzi spod Mławy, ale pracuje w Warszawie. W kawiarni przeczekiwała czas do odjazdu warszawskiego autobusu.

— Wtedy powiedziała panu, gdzie pracuje?

— Nic. Świtem odprowadziłem ją na dworzec PKS. Żegnając się, dała mi swój adres i numer telefonu. I głupia sprawa, kapitanie, bo jak ona zapisywała adres, to ja dopiero w tym momencie przypomniałem ją sobie. Widywałem ją już wcześniej, tylko od tej pory minęło ze dwa lata, a ona przez ten czas bardzo się zmieniła, i to na korzyść, ale żeby aż takie zażalenie... Głupio mi było i sam z siebie się śmiałem, bo mój sfinks był gosposią u Ilony L., chyba nieobce panu to nazwisko ze sceny lub telewizji.

— Iza także pana poznała?

— Nie jestem pewien. Mogła mnie naprawdę nie pamiętać, bo u Ilony bywałem na ogół w tłumie gości i nieczęsto. A może udawała? W każdym bądź razie nie przypominałem jej się wtedy, a potem zupełnie o niej zapomniałem, aż któregoś wieczoru siedzę w domu sam jak kołek, smutno, nudno, na jakiś solidny wyskok brakuje forsy, bo właśnie dostałem mieszkanie i wyprułem się doszczętnie do kopiejki. no to kartkuję notes, do kogo by tu zadzwonić i natykam się na zapomniany telefon Izy. Niewiele myśląc, skok do automatu j dzwonię. Jest. Ktoś mówi „Chwileczkę, przełączę na jej pokój — i odzywa się Białoniówna. Proponuję, aby przyszła do mnie, a ona nie, prosi do siebie. Po drodze kupiłem butelkę i kwiatek, ale patrzę willa, drzwi otwiera mi ona w wieczorowej sukni — wielka gala. Wchodzę, hall na chińsko, dziewczyna wprowadza mnie do pokoju jak bombonierka. Na stoliku koniak, szkot, krewetki w konserwie! Głupio mi się zrobiło, anim wspomniał, że w płaszczu mam pół litra żytki. „Rany boskie — mówię — gdzie ja trafiłem, w kadr amerykańskiego filmu z wyższych sfer?” „Do renomowanej służącej” — śmieje się ona i powiada, że zarządza domem kanadyjskiego futrzarza, osiadłego w Warszawie.

W objazdach mam przerwę, pieniędzy jeszcze mniej, bo gdy pauzujemy, to płacą nam tylko za tak zwaną gotowość, czyli jak kot napłakał, a dziewczyna ładna, czysta i niekłopotliwa, do tego nic nie kosztuje — mówię panu szczerze, jak było.

Spotykamy się, ale raczej u mnie. bo na te pół litra zawsze mnie stać, a krępują mnie koniaki futrzarza. I bomba! Pani starsza szoruje do Estrady, zasięga o mnie opinii! Panie kapitanie, szlag mnie trafił, bo już nawet nie to, że mnie ośmieszyła gruntownie, rozpowiadając, jak ja się napaliłem do małżeństwa z jej kuchtą, ale czy aby jestem uczciwy, jednym słowem, czy można mnie wpuszczać do takiego świetnego domu. bo a nuż zginą srebrne łyżeczki... - • elektryk milknie.

— Wójcikowa użyła takiego Właśnie określenia: kuchta? — dopytuje się Czyżewicz.

— Nie dosłownie, ale podkreśliła moje poważne zamiary matrymonialne względem jej służącej. Byłem wściekły i poszedłem do nich jeszcze tego samego dnia. Wicząc. większe towarzystwo, party w ogrodzie, snuje się wataha po całym domu. Przyłapałem panią starszą i powiedziałem, co sędzę o jej postępowaniu. Nie.

%

nie przy ludziach, nie zniżyłem się do jej poziomu... Z Izą nie chciałem się już widzieć, ale ona przyszła do mnie. „Stara powiedziała mi, co zrobiła — mówi. — Nie bierz lego do serca, ona nie jest taka zła, tylko ma takt dorobkiewiczza i trzęsie się o swoje bogactwo, panicznie boi się włamywaczy”.

Posłałem ją do diabła razem z jej dobrą starą.

„Już mi parę takich gnoi zrobiła, kilku chłopców wypłoszyła — rozplakała się Iza — ale na tamtych znajomościach specjalnie mi nie zależało...” i rozwinęła się. Gorąco mi się zrobiło, gdy usłyszałem. jakie nadzieje ona ze mną wiąże i prawie byłem wdzięczny starej za wywiad . bo mogłem wymanewrować się z niezręcznego układu z honorem, jako ciężko obrażony. Widocznie Iza musiała się przed tamtą przechwalać i chyba stąd ta niedźwiedzia przysługa Wójcikowej. Powiedziałem dziewczynie wprost: unikam jak zarazy kobiet, które pragną wychodzić za mnie za męża. Ale panie kapitanie, działa się to kilka miesięcy temu, czy można mnie obarczać moralną odpowiedzialnością za to, co ona zrobiła teraz? A swoją drogą jest mi piekielnie przykro.

— Może inaczej tłumaczyła sobie wasze zerwanie?

— To była trzeźwa dziewczyna, a ja nic jej nie obiecywałem. Kapitanie, ja nie muszę uciekać się do nieuczciwych chwytów, aby mieć dziewczynę — nawet trudno zarzucić mu chępliwość, bo Kornacki jest wyjątkowo przystojny.

— To była interesująca osoba?

— Zwyczajna. Trochę prymitywna, ale ociosana przez miasto. Nie kompromitująca, śmieszna przez swe aspiracje, bo starała się uchodzić za kogoś innego, niż była.

— Kiedy pan ją spotkał w Mławie, który to mógł być rok?

— Może dwa lata temu. Dokładnie nie pamiętam.

— Wspominała o jakichś planach na przyszłość?

• - Nie mówiło się o poważnych rzeczach. Wypiło się kielicha albo wypilo i zatańczyło, a jak na chacie, to muzyka z taśmy i gadanie mam z głowy... no wie pan, jak to jest: — baka zażenowny.

— Przez dwa lata zgromadziła około dwustu tysięcy gotówki, nic panu o tym nie wiadomo?

— Ale gros*! — aż zachłystuje się Kornacki. — Pojęcia nie miałem, że taka nadziana, nie puściła farby ani słowem. Chłopska natura, z cicha pęk i każdy złościak do pończochy, cholera, tyle naskro- bać! — dziwi się zupełnie zaskoczony. Nie wydaje się, aby problem, w jaki sposób dziewczyna zdobyła te pieniądze, miał dla niego jakieś znaczenie. Nawet nie to, po prostu żadnej innej refleksji poza zdumieniem z nutką zawiści. Właśnie zdumienie, jak to inni potrafią.

Następnego dnia po powrocie z Pułtuska Andrzej z Marianem dzieli się zadaniami: porucznik będzie asystował przy sekcji. Czyżewicz jest umówiony z Łapińskim.

— • Przypilnuj oznakowania grupy krwi — przypomina Andrzej.

— No i na co to komu? — wzrusza ramionami Józefczyk. — Byle utrudnić życie sobie i innym...

— Ałun — wyjaśnia krótko kapitan.

Piotr Paweł zjawia się punktualnie o dziesiątej. Jest bardzo zdenerwowany oczekującą go rozmową — zwłaszcza deprymuje go określenie: przesłuchanie — i wcale nie stara się tego ukryć.

— Był pan pierwszym człowiekiem, który znalazł się w wili Olanskich po śmierci Izy Białoń — Czyżewicz bez wstępów przechodzi do meritum. — Pańska rola w tej sprawie wydaje mi się dość dwuznaczna, sam pan to chyba rozumie.

— Dwuznaczna! — jąka z rozpaczą Piotr Paweł. — Czy ja chciałem popaść w takie terminy? — ma minę bardzo smutnego psa. — Pan mnie przeraża, kapitanie — wyciąga z kieszeni chusteczkę i ociera zwilgotniałe czoło. — Co mogę mieć wspólnego z samobójstwem Izy, to jakieś nieporozumienie. Dlaczego pan mnie straszy?

Czyżewicz w milczeniu wkręca w maszynę do pisania arkusz protokołu, wystukuje personalia Łapińskiego, uprzedza o odpowiedzialności karnej za złożenie niezgodnych 2 prawdą zeznań, a potem pyta, kiedy i po co Piotr Paweł przyszedł do Oianskich. co zobaczył po wejściu do salonu, w którym zastał Iżę, co wie o jej stosunkach z Olanskimi, Kornackim i innymi znajomymi.

Łapiński powtarza swą poprzednią relację, podaje ten sam powód przybycia i czas: kilka minut przed dziewiątą.

— Linia była wciąż zajęta, myślałem, że wróciła Celina i rozmawia... — dobrze wie, ile' czasu jego przyjaciółka potrafi przegadać z kumami, gdy się przyznie do telefonu. Uznawszy dodzwonienie się do niej za beznadziejne, wsiadł w taksówkę i przyjechał.

Drzwi zastał otwarte, co go zdziwiło, a gdy wszedł do salonu, zobaczył martwą Iżę. Nie zdążył ochłonąć, kiedy wbiegli psycholog z lekarzem. O Wójcikowej i Nałęczowie nie wspomina ani słowem, a Andrzej, lojalny wobec starszej damy, także nie porusza tego tematu.

— Proszę przeczytać — kapitan podaje mu protokół — proszę dokładnie przeczytać i podpisać, jeśli wiernie zanotowałem pańskie zeznanie.

Piotr Paweł długo wgłębia się w treść tych niewielu linijek i nie sięga po pióro.

— Panie kapitanie — odsuwa nareszcie protokół — przed podpisem chciałbym uzupełnić...

— Słucham — Czyżewicz bez pośpiechu znów wkręca arkusz w portabla.

— Zanim tam przyszedłem... — milknie, wystukuje z fajki nie wypalony zresztą tytoń, nabija świeży, -otacza się kłębem dymu — więc zanim tam przyszedłem, hm!... 'Rozmawiałem z Białoniówną telefonicznie... — Łapińskiemu niezmiernie ciężko przychodzi to wyznanie, teraz zerka na Andrzeja sprawdzając efekt, ale kapitan pozostaje obojętny, nie wydaje się wstrząśnięty tą informacją.

— O której pan z nią rozmawiał?

— Mogła być szósta... — pytał o Celinę, oczywiście nie było ani jej, ani nikogo z domowników. Natomiast Iza zaprosiła go do siebie na wieczór; chłopięcy rumieniec pokrywa jego starannie wygoloną twarz, peszy go to jeszcze bardziej, więc znów ratuje się fajką i nie patrzy na kapitana. „Wydzwania pan i wydzwania — miała powiedzieć Iza — nudzi się pan i mnie się nudzi, przyjdź pan, zagramy w belotkę, napijemy się koniaku...”

— Umówiliśmy się na dziewiątą — duka Piotr Paweł.

— Niech to będzie belotka — zgadza się kapitan.

— Ależ tak, w soboty często grywałem z Celiną, czasami towarzyszyła nam Iza. A przecież to była sobota... — milknie i wreszcie odważa się spojrzeć na Czyżewicza. — Teraz nie rozumiem, dlaczego mnie zwabiła... Może nie wierzyła, że tamci z Telefonu Zaufania ją odnajdą, więc zabezpieczała sobie ratunek z różnych stron?

Kapitan zwalnia Łapińskiego i dzwoni do aktorki L., przedstawia się, chciałby porozmawiać. W słuchawce brzmi niski, piękny alt:

— Proszę przyjechać...

Sadyba — ulica Topolowa. Typowy domek-bliźniak, przy nim mikroskopijny ogródek, a raczej kilka donic z ozdobnymi krzewami i skrawek trawnika.

Otwiera pani L. W domowej sukience koszulowego kroju, nie umalowana, z gładko uczesanymi włosami wygląda bardzo młodo i mało przypomina osobę, którą Andrzej pamięta ze sceny.

W mieszkaniu Czyżewicz zastaje psychologa i teraz rozumie, dlaczego umawiając się z aktorką telefonicznie, odniósł wrażenie, że Ilona L. jest już poinformowana o wypadku Izy.

Majewski czeka na kapitana. Poczynił pewne istotne spostrzeżenia, musi się nimi podzielić z Andrzejem. Umawiają się w pobliskiej kawiarni. Czyżewicz tam przyjdzie, gdy załatwi sprawy z aktorką.

Pani L. wspomina Iżę jak najlepiej; tak, Białoniówna podjęła u niej pracę jesienią

1970 roku, natomiast odeszła w kwietniu 1971 roku. Zarekomendowała ją i udzieliła świetnych referencji poprzednia pracodawczyni, pani M., z zawodu modystka. Opinia potwierdziła się w całej rozciągłości, dziewczyna sprawowała się bez zarzutu.

Towarzystwo Izy? Na ten temat aktorka nic nie umie powiedzieć.

— Jestem gościem w domu i w zasadzie Iza miała niczym nie skrepowaną swobodę, ale nie zauważyłam, aby jej nadużywała.

— W okresie pracy u pani Białoniów- na wpłaciła do PKO dwadzieścia jeden tysięcy złotych. Ile u pani zarabiała?

— Dwa tysiące miesięcznie, oprócz tego miała pełne utrzymanie. Nie rozliczałam jej drobniogowo, pozostawiałam z bieżących rachunków jakieś drobne sumy. Z całą pewnością mogła tyle uskładać, bo była bardzo gospodarna i oszczędna aż do skąpstwa... — zasadniczo różni się charakterystyka Izy podana przez aktorkę od opinii pań Wójcik; one podkreślały rozrzutność Izy, gdy ta wspomina o skrzętności bliskiej skąpstwa. Dwie przeciwstawne cechy, a więc tylko jedna z nich prawdziwa. Kto przypisuje dziewczynie usposobienie inne, niż miała w rzeczywistości, Ilona L. czy kobiety z Saskiej Kępy?

Andrzej pyta o ten jednorazowy wkład trzydziestu tysięcy złotych, który zapoczątkował konto Białoniówny. Aktorka nie wie. Nic orientowała się w oszczędnościach gospośi i czy w ogóle je miała; nie interesowała się, co ona robi ze swoją pensją.

Pracę Iza porzuciła nagle, bez wcześniejszego wypowiedzenia. Pani L. gotowa była podwyższyć jej płacę w jakichś rozsądnych granicach, lecz Białoniówna w ogóle nie reagowała na propozycję. I nie podała przyczyn, dla których odchodzi.

— Po niej nie miałam szczęścia do pomocy domowych — dodaje. — Od tamtej pory zmieniło się

ich pięć, a w tym czasie zostałam okradziona. Przez to odeszła pewna starsza pani, z której byłam zadowolona i sądziłam, że się u mnie przyjmie...

Na początku 1973 roku do mieszkania aktorki dokonano włamania, owa starsza pani, zatrudniona na przychodnie, po przesłuchaniu jej w charakterze świadka poczuła się dotknięta i zrezygnowała z pracy u pani L.. chociaż nikt jej o kradzież nic podejrzewał. Sprawców nie wykryto. PZU wypłaciło aktorce odszkodowanie z tytułu ubezpieczenia.

— Zna pani Adama Kornackiego?

— Znam, znam" — uśmiecha się Ilona — przez kilka lat pracował w Teatrze Północnym. To moja rodzima scena, na wszystkich innych czuje się tylko gościem... Ale co pan ma do Adasia?

— Często bywał u pani?

— Często? Nie. Wie pan, z okazji premier zespół stawia sobie, nazwijmy to, małą wódkę. Czasami w Spatiie, raczej jednak u kogoś z kolegów, a ponieważ ja mam stosunkowo duże mieszkanie i jestem sama, niekiedy dzieje się to u mnie. Udany spektakl, kapitanie, to nie tylko aktorzy, ale także talent tych, których nazwisk nie drukuje się na afiszach.

— Kornacki poznał Izę Białoń u pani?

— Poznał? Z pewnością widywał... — aktorka z namysłem przygląda się kapitanowi. — Chciał pan powiedzieć, że ten nicpoń interesował się nią bliżej?

— Niczego nie sugeruję, ale dlaczego „nicpoń”?

— Nie zauważyłam, aby zajmował się jakoś szczególnie Izą — mówi z wahaniem — ale przecież wielu rzeczy nie zauważyłam, nawet tego, co robi mój własny mąż... Niedawno się rozwiodłam, lecz to nie ma nic wspólnego z Izą czy Adamem. Ale Adam i Iza? Chociaż, czemu by nie! On nie ma wielkich wymagań, każda ładna a nowa buzia jest w stanie zająć go na jakiś czas. Znany jest z tego w środowisku, a ponieważ to przystojny i miły chłopiec, pełno wokół niego kobiet. Stąd skłonność do powierzchownych, nietrwałych związków czy zupełnie przelotnych zbliżeń. Jednak byłabym jednostronna, mówiąc tylko o lekkomyślności Kornackiego, stać go także i na piękne odruchy, ostatnio mnie zawstydził. Któregoś dnia zadzwonił do mnie do teatru: „Ilona, na waszych oczach ginie człowiek!” Jaki człowiek? — nie rozumiałam, czego on chce. „Marieta Jaromianka!”

Powiem panu szczerze, rozżłościłam się, Marieta! Wciąż wracała do mnie jej sprawa jak bumerang i wciąż ode mnie czegoś oczekiwano. Tylko dlatego, że dwadzieścia lat temu razem chodziliśmy do szkoły aktorskiej, a teraz mnie się powiodło, a jej nie.

Ja dorabiałam się nazwiska, ona ciągle grywała ogony. Może z niej i niezupełnie bezta lencie, bo tak naprawdę nie miała okazji się sprawdzić. To tylko tak się mówi, szczególnie we wspomnieniach o wielkich aktorach, że grając epizod w rodzaju: „Jaśnie panie, podano do stołu!” stworzyli niezapomnianą kreację i zaraz powierzono im wielkie role. W każdym razie Marietę nic takiego nie spotkało, nie zauważona lata całe błąkała się po marginesach sceny. Charakter

miała trudny, a przez niepowodzenia coraz trudniejszy i teatry angażowały ją niechętnie, dochodziło do konfliktów z ludźmi, których obrażała, nie umiała współżyć z kolegami.

Potem występowała w nocnych lokalach w programach rozrywkowych, ale znów powtarzało się to samo, a do tego lekceważąc to zajęcie potrafiła nie przyjść na występ. Miała wciąż wysokie wyobrażenie o swoich możliwościach, kwalifikacjach, więc i odpowiednie do tych wyobrażeń aspiracje.

Często jej pomagałam, gdy wpadała w kolejne tarapaty, ale coraz mi było trudniej znaleźć odważnego, który chciałby ją zaangażować choćby do epizodu, i nawet nic można się ludziom zbyt dziwić, bo Marieta była nie do zniesienia.

To wszystko odbiło się na jej psychice, w końcu leczyła się, i to w zakładzie zamkniętym. Kilka miesięcy temu wróciła ze szpitala, Adam Kornacki spotkał ją chyba w Spatifie. Była bez środków do życia, innej pracy niż scena nie mogła sobie wyobrazić, zresztą cóż innego umie robić?

„Ale z was zgraja! — napadł na mnie Adam, bo przejęty jej losem szukał protekcji u różnych dawnych znajomych, a wszyscy się wykręcali. Nikt nie chciał narażać swego autorytetu, bo nikt już nie wierzył, że ona potrafi współpracować z jakimkolwiek zespołem. — Ilona, bądź człowiekiem, pogadaj z impresario »Varietés« — nalegał Kornacki. — Dobrze go znasz, jeśli tylko zechcesz, to go namówisz. Nie chodzi o wielkie rzeczy, niech da Mariecie piosenkę, skecz, przecież to tak niewiele, a podratuje psychicznie i zapewni kawałek chleba”.

I ubiłam interes, sprzedaż wiązana, jeśli tak można powiedzieć... — uśmiecha się Ilona.

„Varietes ' zaangażowało Jaromiankę, a pani L. obiecała wziąć udział w ich styczniowym programie.

— Na razie przyjęła się w tym zespole — podejmuje aktorka. — I nawet na niezłym poziomie opracowała te swoje numerki. Jestem w kontakcie z Adamem, zobowiązałam go, aby jej pilnował. Ostatnio byli u mnie, zaprosiłam także kilka osób liczących się w branży, chciałam, aby ją zobaczyli i pomogli dalej, bo jej kontrakt z Estradą wygasa w grudniu, a ona wierzy, że odbuduje sobie pozycję... Życzę jej jak najlepiej, jednak z taką opinią niełatwo zaczynać karierę w naszym zawodzie, gdy się w dodatku dobiega czterdziestki... Rozgadałam się uśmiecha się przepraszająco — ale powiedziałam o Kornackim: nicpoń, a pan mógłby to wziąć zbyt dosłownie.

W pustej kawiarni Czyżewicz spotyka czekającego nań cierpliwie psychologa.

— Nie chcę wdierać się w tajemnicę śledztwa, ale ten wypadek interesuje mnie z zawodowego punktu widzenia. Czy już wyrobił pan sobie jakiś pogląd na motywy czynu? — dowiadyuje się Łukasz.

— Nie — kapitan jest powściągliwy.

Majewski wrócił właśnie z Rosła wic,

widział się także z Kornackim, ale on nie chciał rozmawiać na temat Białoniówny.

— To pierwszy tego rodzaju wypadek w mojej praktyce... — tłumaczy się psycholog; pracuje w instytucie naukowym, a w Telefonie Zaufania pełni dyżury dwa razy w tygodniu. To raczej praca społeczna, wynagrodzenie jest symboliczne, liczą się jednak doświadczenia, potrzebne do przygotowywanego doktoratu.

Do Telefonu Zaufania nader rzadko zwracają się ludzie, którzy mają zamiar popełnić samobójstwo. Na ogół szukają też psychicznego wsparcia osoby młode, uwikłane w trudne sytuacje życiowe; przeważnie samotni; proszą o radę czy nawet konkretną pomoc.

— Ale mam coś, co pana zainteresuje, proszę posłuchać! — Łukasz ustawia na stoliku miniaturowy magnetofon.

— ...Nie wiem, dlaczego, ale zanim to zrobię, coby jeszcze usłyszeć ludzki głos... — niski, lekko schrypnięty, dobrze ustawiony alt, pełen ekspresji, niesie taki ładunek dramatycznej prawdy, że aż chwytą za gardło, zmusza do słuchania z zapartym tchem. Ternu głosowi nie można nic wierzyć, przekonuje szczerością rozpacz, rezygnacji.

-- ...nie uratujesz mnie, Don Kichocie... — zamierzający szept, ale w nim uwieczony krzyk, ostatni krzyk odchodzącego życia.

— Kto to mówi?! - - Andrzej jest pod wrażeniem tego głosu, a przecież wie, że w Telefonie Zaufania niczego się nie nagrywa; pełna anonimowość i dyskrecja są nienaruszalną zasadą tej instytucji.

— Nie poznał pan, Ilona L. to naprawdę wielka aktorka. Tamta z mego telefonu nie dorosła jej do pięt.

— Jaki to ma związek z panią L.? — nie rozumie kapitan.

Łukasz z pamięci spisał monolog Izy, a kiedy szukając o niej informacji trafił do aktorki, wpadł na pomysł, aby ten tekst w jej interpretacji utrwalić na taśmie magnetofonowej. Ilona potraktowała projekt z aktorską pasją i zagrała rolę. W taki sposób powstał zapis.

— Chciałem odtworzyć tamtą rozmowę. I kiedy mówi to Ilona L., n f e m o ż n a j e j n i e w i e r z y ć !

— • Więc tamtej dziewczynie niezupełnie pan wierzył?

— Wtedy wierzyłem i bardzo się przejąłem. Wydawało mi się, że nie potrafiłem powstrzymać tego człowieka, nie umiałem nawiązać z nim kontaktu, teraz nie wierzę. Więcej, niemal mam pewność, że kobieta, z którą rozmawiałem w sobotę wieczorem, nie była Izą Białoniówną.

— Kiedy pan doszedł do tego wniosku? — Czyżewicz coraz uważniej słucha Majewskiego.

Wątpliwości ogarnęły mnie po powrocie z Ręśławic, a teraz po analizie językowej tekstu nagranych przez panią L. jestem prawie przekonany. Tak nie mogła mówić Iza!

Kobieta podająca się za Izę poprawnie wymawiała poszczególne głoski, żadnego akcentu czy naleciałości gwarowych, od których nie był wolny język Białoniówny. Wyjaśniłem to z jej nauczycielką w Rosławicach. Rozmawiała z Izą niedawno, spotkała ją w autobusie, gdy jechała w odwiedziny do rodziców. A czy słyszał pan kiedy, jak mówią ludzie w powiecie mławskim?

Ponadto: kobieta z telefonu starannie dobierała słowa, zręcznie posługiwała się metaforą; łączenie wyrazów bez zarzutu, wyrobione poczucie językowe cechujące ludzi czytanych w literaturze, sprawność kompozycji i dobra dykcja!

Nie trzeba być filologiem, kapitanie, by przy konfrontacji tego, czego dowiedziałem się o Izie, z treścią rzekomo jej tekstu wyciągnąć taki wniosek.

„...zamki otworzone zostały za pomocą dorobionych kluczy, potwierdziły to badania mechaniczne... Sprawców włamania nie wykryto..!”

Akta śledztwa w sprawie włamania do domu aktorki L., wypożyczone przez Czyżewicza z komendy dzielnicowej na Sadybie, to cieniutka teczka zawierająca lakoniczne protokoły przesłuchań kilku świadków, którzy nic istotnego do dochodzenia nie wnieśli, oraz dość smętne sprawozdanie wieńczące wszelkie czynności śledcze.

— Szukasz źródeł dochodów Białoniówny? — domyśla się Marian zaglądając kapitanowi przez ramię. — W dwóch domach zapewniono cię o rzadkiej uczciwości tej dziewczyny, a ty dopasowujesz jej udział we włamaniu?

— Nic nie mogę dopasować! — złości się Andrzej. — Skąd jednak miała tyle pieniędzy?

Niewykluczone, że tu tkwi źródło — poważnie Marian. — Dziewczyna zaskarbia sobie zaufanie pracodawców, umożliwia współpracownikowi dorobienie kluczy, podaje rozkład mieszkania, zwyczaj domowników, potem zmienia miejsce, gdzie znów błyszczy wszelkimi cnotami, utwierdzonymi zresztą doskonałymi referencjami z poprzednich domów. Po paru miesiącach, w ciągu których u aktorki L. przewinęło się już kilka pomocy domowych....

— Tylko dwie — prostuje Andrzej.

— ...w parę miesięcy później aktorka zostaje okradzona. Suma strat: trzysta osiemdziesiąt tysięcy złotych. Ile za te rzeczy mógł dać paser? W najlepszym wypadku jedną trzecią, a w tym kręgu taryfa za nadanie roboty wałia się od dziesięciu do dwudziestu pięciu procent. Powiedzmy, że Białoniówna otrzymała dwadzieścia pięć procent, czyli około trzydziestu tysięcy złotych.

— Trzeba porozmawiać z resztą chlebodawców, czy nie było u nich kradzieży.

Kapitan wybiera się do pani M. na ulicę Szaserów, kiedy w komendzie zjawiają się rodzice Izy Białoniówny. Andrzej nie daje im czekać, prosi do siebie. Białoni

przemierza pokój zamaszystymi krokami, za nim drobi żona.

— Takie nieszczęście, kapitanie — tłumi szloch splakana kobieta.

— Telegram my dostali od pani Olan- skiej — informuje Białoń — i różne rzeczy po córce pani starsza wydała — podaje Andrzejowi kartkę, na której z pedantyczną dokładnością wymieniona jest pościel i ubranie, w tym karakułowe futro, bielizna, obuwie, różne drobiazgi z toaletowymi włącznie, a także dwie dekoracyjne lale z pokoju Izy.

Pod rejestrem widnieje pokwitowanie podpisane przez Białońów, nieco niżej czytelny podpis Wójcikowej, a także podpis świadka, aktualnej pomocy domowej.

Prędko zdobyli nową gosposię — myśli Czyżewicz.

— Czy ona wszystko oddała? — bada stary.

— Nic wiem, co należało do waszej córki, sędzę jednak, że to uczciwi ludzie — uspokaja ich Andrzej.

— My po książeczkę — z zakłopotaniem zaciera ręce Białoń. — Młodsza pani mówiła, że wydała panu kapitanowi, to znaczy tego... pan kapitan zabezpieczył, no to rny wdzięczni, bo w rozgardiaszu mogłaby gdzie przepaść, a tak to była na przechowaniu w milicji.

— Dziękujemy panu kapitanowi za opiekę i zabierzemy — dodaje Białoń- wa.

— Książeczka będzie zwrócona — tłumaczy Czyżewicz — po zakończeniu dochodzenia, na razie musi pozostać tutaj.

— A czemu to tak? — niepokoí się stary. — Pi- zecież wiadomo, Iza nasza córka, a po córce to rodzicom się należy.

Czyżewicz powtarza swoje; da im pokwitowanie, ale tymczasem książeczka jest dowodem w sprawie i on nie ma prawa jej wydać. Słuchają uważnie, ze zrozumieniem kiwają głowami.

— Tak, to tak — poddaje się decyzji kapitana Białoń, ale nie kryje niezadowolnienia.

— Czy córka otrzymała od was jakąś większą sumę w 1970 lub 1973 roku? — Andrzej nie wymienia wysokości kwoty, aby nie płoszyć starych, ale i to pytanie wystarcza.

— Panie, my biedni ludzie, a skąd my by wzięli? — wzdycha Białońowa.

— My biedni ludzie — wtóruje jej mąż. — Nasze wszystkie dzieci po świecie za zarobkiem, żadnego nie wywianowali, bo i z czego? — podejrzliwie traktują to pytanie.

Przyszli odebrać książeczkę i wszystkie swe wyjaśnienia formułują w ten sposób, aby jak mniemają, nie zaszkodzić w jej odzyskaniu;-

— A... ile tam, tej wpłaty? — odważa się zapytać stary; gdy kapitan wymienia sumę, Białońowie spoglądają na siebie z osłupieniem, ich nieufność i zaniepokojenie potęguje się jeszcze bardziej. —■ A pan posądza córkę o nierzetelność i dlatego nie chce wydać książeczki? — precyzuje wreszcie ojciec. Zrozumiał to mimo oględnych wyjaśnień Czyżewicza i z rezygnacją przyjmuje pokwitowanie. Lecz teraz py-

tania dotyczące córki traktuje podejrzliwie. Tego nie wie, tamtego nie pamięta. W ich przekonaniu wszystko wymierzone jest przeciwko córce, aby pozbawić ich zgromadzonych oszczędności.

— Ona była bardzo skrzętna, grosza dla siebie skąpiła, to i uzbierała — przekonuje Białońowa. — A i zarabiała dobrze, posadę miała jak się patrzy! Jak ray się martwili, skąd weźmie na budowanie, to tylko się zaśmiała. „Mamo”, powiada, „moi państwo wszystko dla mnie zrobią, jak będzie potrzeba, a jak zabraknie, to mi pożyczą”.

Kapitan wspomina o pokwitowaniach z PZGS.

— Ano szklarnię postawić zamiarowa- ła, gruntu dokupić — przyznaje Białoń — poważnie o przyszłości myślała. — I zaraz znajduje dowód na przeciwność córki: — Jakby to nie były sprawiedliwe pieniądze, toby je w skrytości trzymała, a widać nie bała się, skoro tak się nimi rozporządzała...

Po odejściu Białońów Andrzej z Marianem zastanawiają się nad wywiadem w Rosławicach.

— Mogę jechać choćby zaraz — ofiarowuje się porucznik — ale moim zdaniem posterunek załatwi to lepiej, uzyska więcej informacji. Są na miejscu i znają wieś.

Argumenty porucznika trafiają Czyże- wiczowi do przekonania, więc telefonicznie porozumiewa się z komendantem w Rosławicach. Naświetla mu wypadek.

— Słyszałem, że nie żyje — mówi chorąży. — Białońowie ukrywają przyczynę i nie ma się czemu dziwić. Tutejszy obyczaj jest bardzo surowy dla samobójców.

— Interesuje mnie wszystko, co dotyczy dziewczyny... — kapitan wspomina o oszczędnościach Izy.

— Mieli kupić kawałek ziemi — komendant nie zna szczegółów, ale ten projekt obił mu się o uszy — ...tak, ludzie mówią, że córka miała kupić i inwestować w hodowlę czy w ogrodnictwo, nie jestem pewien. Wyjaśnię.

Chorąży idzie do Sasinów, najbliższych sąsiadów Białońów, ale spostrzega Sasi- nową na gumnie Białońów, więc wchodzi tam, pozdrawia kobietę i pyta o gospodarzy.

— A nie ma ich, nie ma — odpowiada Sasinowa — znów do Warszawy pojechali, a ja ich żywinę doglądam. Niedawno my się trochę przemówili, ale cóż, w nieszczęściu trza ludziom pomóc i o urazach zapomnieć. Słyszał pan, komendancie, jaka bieda na nich spadła? — kobieta wspiera się na stylisku wideł. Właśnie podrzucała siano krowie.

— Słyszałem — przyznaje komendant — podobno nieszczęśliwy wypadek.

— Ale, wypadek! — parska Sasinowa. — Sama śmierć sobie zrobiła! Nie zawsze milicja wie najlepiej, komendancie — do- , daje z nie tajoną satysfakcją.

— Nie zawsze — zgadza się chorąży. — Ale skąd to pani Sasinowa wie?

— To niech komendant mi powie, czemu oni już trzeci raz w Warszawie, a o pogrzebie ani słycho, ani dychu, co? Za pierwszym razem pełny kufer i jeszcze toból po Izie przywieźli, drągi raz takie smutne wrócili, że się serce krajało, a teraz po co znów pojechali? Cichcem dziewczuchę będą grzebać.

— Z czego ją to napadło? — dziwi się komendant.

— Tego to i starzy pewnie nie wiedzą — zasępiła się Sasinowa. — Ciekawi mnie tylko, gdzie Iza, świeć Panie nad jej duszą, pieniądze trzymała? Bo pieniądze to ona miała... I niech pan patrzy, komendancie, co warte ludzkie życie! Marność nad marnościami, Jak puch z mleczka, iuuu! I nie ma. Już dla niej na nic się te pieniądze nie zdadzą, ale Białoniowie chyba je dostaną, jak pan myśli, panie chorąży?

— Podobno kawałek siedliska Iza u was targowała, ale co? Nie dogadaliście się? Widzę, płot nie przesunięty — komendant ocenia odległość sąsiedzkich parkanów.

— Nieee — markotnieje Sasinowa. — W tym tygodniu mieli my do rejenta do powiatu jechać... Ale tam, człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi... Prawie my się już ugodzili, choć przy tym właśnie i przemówili, bo Iza przyjemna nie była, nie! Poniżyć człowieka chciała. „Taki tam grunt — powiada — ugór przez gęsi na bęben wyskubany, ile pieniędzy trza będzie jeszcze w niego włożyć... Jak wytrzymać możecie, Sasinowa — powiada — żeby wam, za przeproszeniem, gęsi pod progiem srały”. Jej interes! ...„Od naszego sadku aż potąd — powiada — szklamię wyszykuję”. To ja na to: „Takaś bogata, ogrodnictwo zakładasz, a o te dwa tysiące z nami, sąsiadami, się handryczysz?”

Bo myśmy chcieli równe siedemdziesiąt tysięcy, a ona nie! Ary,' powiada, policzone, stawka za ar taka i taka, wypada sześćdziesiąt osiem tysięcy. Ja mówię: „Ale punkt dobry, przy przystanku pekaesu!” „Pomidorów szklarniowych — powiada Iza — pekaesem wozić nie będę, wóz dostawczy kupię”. — I dogaduje, ścierwo: — „Długo będziecie innego kupca szukać na ten płacheć. Chociaż on i przy przystanku, nikt nie poleci, bo to byłby zagon jak kiszka, między naszym a waszym parkanem, to po co to komu? A ten wasz syn. co go tak pod niebo wynosicie. na syrenkę potrzebuje”.

„A skąd ty wiesz?” — nie wytrzymałam jak głupia. „Ja wszystko wiem — powiada, lii — prześmiewa się — co to za samochód, to nędza, nie samochód. Ja — przechwała się — półcięzarówkę kupię dla gospodarskiej potrzeby. Fiu-bździu ma w głowie ten wasz Antek i do niczego nie dojdzie, tylko was z torbami puści. Nie dam — powiada — ani grosza więcej, świniaka sprzedajcie i mu dołóżcie, jak tak wam zależy, żeby on wozem rozjeżdżał. Ja nie jestem taka dobra jak wasz Antek, ale ja swoich nie cystackam, tylko im pańskie życie wyszykuję, a brata na inteligenta wywieruję, nie dam do jakiegoś terminu jak wy swojego, tylko na uniwersytet albo i na politechnikę będzie w Warszawie uczęszczał!”

Tego to już nie zniosłam, bo kto mi tu Antkiem gębę wyciera, kto?! Dziewczy- nisko bez szkół żadnych, uczyć się nigdy nie chciała, starzy krzyż pański z nią mieli i wstyd tylko, bo leniwa była i po dwa lata w klasie zimowała, potem ją do Warszawy poniosło, czarną robotę robiła i jak niepyszna wróciła, prawie goła i bosa, a starzy trzymać jej nie chcieli, bo i po prawdzie cały dom dzieci wtedy u nich był i nie przelewało się... Pyta pan, kiedy taka przegrana wróciła? A chyba po roku tej „stolicy”. A potem znów na lato jak zły grosz ją przyniosło, tylko już wtedy książeczkę miała, pieniądze na pocztę co miesiąc wybierała. A na tę pocztę wystrojona spacerowała i taką porę wybierała, aby ją ludzie widzieli, śmiechu warte. Próżniaczyła się tak prawie całe lato, odgryzła się i hajda, bo telegramę z Warszawy dostała. Białoniowa się przechwałała: „Patrzcie, sąsiadko, jak moją córkę cenią...” No i pojechała do tej Warszawy na lekki chleb...

— Jaki on tam lekki, pani Sasinowa!

— Komendancie, moje dzieci po szkołach, a siedemdziesiąt tysięcy gotówką żadne nie ma, zaś Białoniówna siedmiu klas nie przebrnęła, to jak pan myśli, z pracy rąk to bogactwo? Nikt mi .ego nie wmówi — zacietrzewia się Sasinowa. — Z poróbstwa!... Tak mi dopiekła tym gadaniem, że jej to wszystko wygarnęłam, a tak się rozwściekliłam, że za jedno mi było: kupi zagon, nie kupi, swoje powiedziałam. Aż Białoniowa zaczęła na mnie pomstować, a Iza tylko: „Cicho bądźcie, mamusiu” — i do mnie: „Patrzcie swego nosa, Sasinowa, a nie mojej rzyci! Gdzieś mam wasze gadanie, ciemna babo — powiada — byłabym może i dołożyła te dwa tysiące, ale nie dodam za wasz ozór. Moją cenę znaciej ja w interesach

gniewu nie chowam, jak wam propozycja dogadza, za tydzień litkup szykujecie!”

No i ugodzili my się, i teraz ona miała przyjechać, aby rcjentalnie umowę podpisać.

— ...nie, to nie jest samobójstwo! Ani samobójstwo, ani nieszczęśliwy wypadek. Iza Białoń została zamordowana, zamordowana z premedytacją.

Rozmowa z komendantem dzielnicy nie zapowiada się gładko; po spotkaniu z szefem prokuratury pułkownik jest zawsze monotematyczny, przeważają kwestie formalne: przekroczone terminy, zaległe sprawy. A w teczce Czyżewicza, obok śledztwa dotyczącego śmierci Izy Białoń, leży jeszcze kilka innych nic załatwionych dochodzeń. Andrzej wie jednak, że najważniejsze są te sprawy, którymi interesują się zwierzchnicy.

Teraz czuje się pewnie, wczoraj poranna poczta przyniosła protokół sekcji zwłok i orzeczenie ekspertów o wynikach badania dowodów rzeczowych zabezpieczonych w willi Olanskich, zaś dzisiaj otrzymał sprawozdanie komendanta posterunku z Rosławic, przesłane dalekopisem z Komendy Powiatowej w Mławie.

— W sprawie coś się dzieje! — ucieszył się Marian; obaj wiedzą, najbardziej niecierpliwi zwierzchników stwierdzenie: nic nowego w śledztwie!

Ale pułkownika niełatwo przekonać, jest doświadczonym oficerem; sceptycznie traktuje hipotezy inspektorów, woli obalać je tutaj, zanim sprawa wyjdzie z komendy, niż później słuchać krytycznych uwag prokuratora.

Czyżwicz musi obiektywnie przedstawić zgromadzony materiał, wyeksponować wszystko, co potwierdza jego tezę, a także i to, co jej przeczy.

— Około osiemnastej umówiła się na wieczór z Łapińskim. Mało prawdopodobne, aby w ciągu trzech godzin, między osiemną a dwudziestą pierwszą zdarzyło się coś takiego, co mogło ją pchnąć do zamachu na własne życie. Ani treść, ani okoliczności ich rozmowy nie zapowiadały dramatu.

Informacje z Rosławic charakteryzują Izę Białoń jako dziewczynę rzeczową, chłodną i niełatwo poddającą się nastrojom. Skrętnie gromadzi pieniądze, trzeźwo planuje przyszłość. Wbrew pozorom nie buduje jej na związku z Kornackim ani nie wiąże z Warszawą i z zawodem pomocy domowej.

Jeszcze kilka dni temu ta dziewczyna mocno stoi na ziemi, wie, czego chce, z chłopską przezornością, bez pośpiechu, ale konsekwentnie dąży do wytkniętego celu • • i nagle krach! A tuż przed krachem *speech* przez telefon? — W świetle tych argumentów Andrzej odrzuca wersję samobójstwa na tle załamania psychicznego z powodu niepowodzeń uczuciowych.

To nie Iza Białoń, lecz ktoś inny, podając się za nią, rozmawiał z psychologiem Telefonu Zaufania. Ten ktoś, jakaś inna kobieta używała słów i zwrotów

właściwych ludziom o sporej wiedzy i kulturze języka. Na podstawie tej rozmowy można odtworzyć nawet fragmenty jej portretu psychologicznego.

• Pascal, Don Kichot, ból i bezsens istnienia? To w żadnym razie nie jest w

stylu Izy — kończy Czyżewicz swe uzasadnienie.

— Przypuśćmy, że to nie jest samobójstwo — powściągliwie przystaje pułkownik.

— Przed Łapińskim były w tym domu prócz Izy jeszcze dwie osoby. Mężczyzna i kobieta.

— Skąd to wiemy?

— Na umywalni w łazience Białoniów-ny znalazłem laseczkę ałunu. Nasi eksperci wypowiedzieli się, że był on s w i e-żo używany, ujawniono na nim krew. Krew należy do m ę z c z y z n y o grupie A. Było jej zbyt mało, aby stwierdzić jeszcze i inne cechy, brak nawet podgrupy. Nie jest to jednak krew Piotra Pawła Łapińskiego.

— To tylko dowód pomocniczy. Na tej podstawie zaledwie można powiedzieć: ta i ta osoba nie u ż y w a ł a ałunu owego wieczoru, nic ponadto!

— Toteż badanie krwi nikogo nie eliminuje ze sprawy, a zatem n a r a z i e nie jest celowe.

— Nie jest — przyznaje szef komendy.

— Kwadrans przed dwudziestą z psychologiem rozmawiała kobieta, podająca się za Izę Białoń. P r z e d s t a w i ł a się Majewskiemu, a później, mimo przerwania rozmowy, nie rozłączyła się. Zrobiła wszystko, aby zasugerować mu zamach samobójczy i umożliwić odnalezienie adresu.

— Kobieta udająca Izę Białoń nad zwłokami Izy Białoń, powiadasz? Dość niezwykle. Nie spotkałem się w swej praktyce z takim wypadkiem.

— Na tym polegał plan. Inscenizując rozmowę Izy z psychologiem sprawca założył, że zeznanie Majewskiego będzie dla milicji wystarczającym potwierdzeniem faktu samobójstwa, a Majewski początkowo rzeczywiście uległ sugestii. Dość szybko jednak zwrócił uwagę na rozbieżności w portrecie psychologicznym Izy i osoby z telefonu — kapitan oddaje sprawiedliwość psychologowi.

— Czym ją otruto?

— Środkiem niebanalnym. Jakiś lek przeciwalkoholowy, antabus czy apomor- fina albo oba razem. Podane w połączeniu z alkoholem spotęgowały swe śmiertelne działanie przez wzmoczenie czynności farmakodynamicznych. Zmarła na skutek synergizmu, tak to formuluje protokół medycyny sądowej.

— Stwierdzili czas śmierci?

— Lokalizują go między osiemnastą a dwudziestą pierwszą. Potwierdza to zeznanie Łapińskiego, telefonicznie rozmawiał z Białoniówną około osiemnastej.

— W czym jej podano preparat?

— Nie wiem. Resztką alkoholu w butelce nie zawierała substancji toksycznych lub synergicznych, a w jej kieliszku także nie ujawniono żadnych śladów.

— Do diabła, przecież w czymś musiano to rozpuścić, z pewnością nie poczęstowano jej pastylkami!

— Nie badałem żadnych naczyń w kuchni — Andrzej w ogóle tam nie był, do kuchni nie zaglądał ani technik, ani fotograf, ale Czyżewicz przezornie nie wspomina o tym szefowi — lecz nie sądzę, abym znalazł tam coś istotnego.

— A to dlaczego?

— Z barku w salonie Olanskich zginęły dwa kieliszki, duże kryształowe o pojemności 0,75. Moim zdaniem pili z nich sprawcy i może w pośpiechu zabrali je ze sobą, aby zniszczyć ślady.

— Co to ma wspólnego z naczyniem, w którym podano lek przeciwalkoholowy?

— Prawdopodobnie ono także zostało zabrane, zniszczone lub umyte.

— To są tylko domysły — w głosie szefa brzmi nagana. — Ta dziewczyna nie była alkoholiczką?

— Z całą pewnością nie, chociaż nie stroniła od alkoholu: także w jej najbliższym otoczeniu o nikim takim nie słyszałem, ale wykluczyć podobnej ewentualności nie mogę. Na przykład sposób picia Marii Olanskiej i sięganie po alkohol przy lada okazji daje do myślenia... — Andrzej pamięta, jak Maria tamtej krytycznej nocy wypila trzy duże kieliszki koniaku i jak szybko alkohol rozładował jej zdenerwowanie, podobną reakcję zaobserwował wtedy, gdy mama Wójcikowa odkryła zniknięcie kieliszków. — Ale jak wiadomo przychodnie leczące alkoholików utrzymują w ścisłej tajemnicy nazwiska pacjentów i bez zgody prokuratora nikt ze mną nie będzie na ten temat rozmawiał.

— Nie mam podstaw, aby starać się o prokuratorowski placet na wgląd w karty chorych — sucho stwierdza pułkownik.

— Wcale o to nie proszę — zastrzega się Andrzej. — Zresztą lek mógł zdobyć niekoniecznie alkoholik i niekoniecznie receptę musiał wystawić lekarz; receptę można sfalszować. Tą drogą trudno trafić do sprawcy.

— Czy nie przeginasz w drugą stronę? Nic rezygnuj tak łatwo. Nie zapominaj, że właściwości tego leku znają przede wszystkim lekarze i pacjenci. Jeśli przedstawisz konkretne nazwisko i uzasadnisz podejrzenie, postaram się jednak o prokuratorowską sankcję na wgląd w kartotekę.

— Na nożyku po!silver ekspertyza stwierdziła ślady startej krwi. Jej składu nie dało się wypreparować, bo to zaledwie mikrony. Nożyk jest fabrycznie nowy i nie był jeszcze używany zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Na pozostałych dwóch, w nienaruszonych firmowych opakowaniach, nie ujawniono żadnych śladów.

— Twoim zdaniem żyłki położono tam, aby samobójstwo było tym bardziej oczywiste?

— Tak. I przefajnowano. Gdy spostrzegłem ałun, w pierwszej chwili myślałem, że Białoniówną zraniła się robiąc manicure. Lecz natychmiast zastanowiło mnie, czy w takiej chwili dziewczyna byłaby zdolną

zajmować się pielęgnacją paznokci. Żyletka prawdopodobnie skaleczył się morderca.

— Motywy zabójstwa?

— Nic o nich nie wiem. Próbuję wyjaśnić pochodzenie ćwierci miliona o- szczędności Izy. Jeśli to odkryję, znajdę motywy.

— Masz napięty termin w dochodzeniu o włamanie — przypomina pułkownik — oddaj je... — wymienia nazwisko jednego z inspektorów — reszta może zaczekać!

Komendant ujmując Czyżewiczowi obowiązków nie tylko przyznaje pierwszeństwo sprawie zabójstwa, ale we właściwy sobie, powściągliwy sposób podkreśla także uznanie dla pracy oficera. Andrzej to rozumie, bo dobrze zna usposobienie szefa.

— Jak cię przyjął stary? — chce wiedzieć Marian czekający na kapitana.

— Wyżyłował, ale kierunek śledztwa akceptuje. Odciążył nas od innych spraw i nawet jakby był kontent.

— Przeszło mu to przez gardło? — nie wierzy Marian.

— Pośrednio. Pochwałą chyba się udławił, ale w ogóle nie czepiał się terminów innych dochodzeń. Starczy?

— No to bierzmy pod światło całe to towarzystwo!

Muszą dokładnie wszystko zbadać, nie wolno niczego pominąć; przede wszystkim ludzie z kręgu Białoniówny. Marian nazywa to obrzędowym dreptaniem.

— Iw taki sposób nieuchronnie dochodzimy do alibi... r— Czyżewicz nie może powstrzymać ciężkiego westchnienia na samą myśl o wielu bezużytecznych czynnościach i godzinach pracy, które t r z e ba poświęcić, aby wyliczyć i potwierdzić, gdzie byli i co robili w dniu siódmego listopada, między szóstą a dziewiątą wieczorem: Norbert Olansky, jego żona, teściowa, Kornacki i nawet Łapiński.

Sprawdzają to razem z Marianem, korzystając z pomocy kolegów z Wrocławia, Otwocka i Pułtusa.

Norbert Olansky — Wrocław; telefonicznie próbował zarezerwować hotel w Opolu — odmowa z braku miejsc. Około szóstej po południu wjechał swoim wozem do Opolu, tam w hotelu Merkury dowiadywał się o pokój, skierowano go na kwatery prywatną.

Pod Wrocławiem i na Śląsku Opolskim mieszczą się zakłady kuśnierskie, z którymi Norberta Olansky'ego wiązą zawarte kontrakty.

Maria Wójcik-Olanska — Otwock; jej obecność wieczorem siódmego listopada potwierdza t y l k o właścicielka domu, u której Olanska często wynajmuje pokój; zawsze bywa tam z dzieckiem, lekarz zalecił mu otwocki klimat. Dom położony jest w sosnowym lesie, właściwie już za miastem, wejście do wynajętych pomieszczeń niekrępujące. Olanska dysponowała wozem i nie można wykluczyć jej ewentualnego wyjazdu do Warszawy.

Celina Wójcikowa — Warszawa; zameldowana w hotelu Forum. Pokój pojedynczy, wynajęty na dziesięć dni. Drugiego listopada po południu poddała się zabiegowi. Następnie codziennie około osiemnastej przychodziła na Nowogrodzką do Instytutu Kosmetyki Upiększającej na zmianę opatrunków. Nosiła wtedy ciemne szkła, długowłosą perukę i kapelusz z olbrzymim rondem.

Cały personel, poczynając od portierki, a na chirurga kończąc, doskonale zapamiętał pacjentkę, która chyba mniej by zwracała uwagę widocznymi bandażami niż tym przesadnym maskowaniem. Nikt jednak nie jest w stanie potwierdzić, gdzie znajdowała się wieczorem w dniu siódmego listopada.

Adam Kornacki — Pułtusk; siódmego listopada „Variétés" dało tylko jeden spektakl popołudniowy. Występ zakończył się o godzinie osiemnastej, ale już o dziewiętnastej niektórzy aktorzy rewii brali udział w programie artystycznym na zabawie tanecznej zorganizowanej w klubie, trwającej do godziny trzeciej rano.

Obecność Kornackiego na zabawie potwierdzili liczni koledzy z zespołu, w tym impresario; lecz tutaj podczas występów piosenkarki śpiewały bezpośrednio do mikrofonu, żadnego numeru nie odtwarzano z taśmy. Czyli Kornacki nie był zajęty przy urządzeniach transmitujących, jak to ma miejsce podczas zwykłych spektakli; przebywał tam prywatnie. Dotrzymywał towarzystwa Mariecie Jaromian- ce, także nie zaangażowanej w tym programie. Około północy Kornacki odprowadził ją do hotelu i sam też nie powrócił na salę.

Piotr Paweł Łapiński — Warszawa; z pracy wyszedł o godzinie szesnastej i już nie wychodził z domu. Jednak nikogo nie może wskazać, kto potwierdziłby jego wyjaśnienie.

— Norbert Olansky nie wchodzi w rachubę — po przejrzaniu materiału Andrzej wyklucza futrzarza. — Lecz inni?

Czyżewicz koncentruje rozpoznanie wokół willi Olanskich; interesują go ludzie zamieszkali na pobliskich ulicach. Wprawdzie pogoda była fatalna, ale nie wszyscy przecież siedzieli w domu. Może dostrzegli coś, co okaże się istotne dla dochodzenia?

Któraś z tych ulic przybyli i odeszli lub odjechali sprawcy: wiec kapitan z Marianem cierpliwie chodzą od domu do domu. Celnie określił to porucznik obrzędowym dreptaniem.

Drepczą i pytają. Wciąż te same pytania: czy ktoś widział lub słyszał, może jakiś rysopis czy charakterystyczna cecha, może numer lub chociaż marka wozu. Liczą na szczęśliwy traf, przypadek albo błąd mordercy.

Może kogoś widziano tamtego wieczoru w pobliżu willi Olanskich? Przecież zbrodnicza para musiała najpierw przekroczyć furtkę zaopatrzoną w domofon i otwieraną za pomocą automatu z wewnątrz. Oczywiście jeśli był to domownik, to miał klucze i jeg@

obecność pod własnym parkanem nikogo nie zastanowiła, a więc i nie pozostała w pamięci.

Czyżewicz z Marianem żywią słabą nadzieję na uzyskanie konkretnej informacji. Tamten wieczór był deszczowy, wietrzny i ciemny; ulice, a także obszerny ogród wokół domu Olaskich, pełne starych drzew, a chociaż bezlistnych o tej porze roku, jednak dających cień i osłonę.

Sąsiedzi z lewa, z prawa, sąsiedzi z przeciwnej strony uliczki — wszystko jednorodzinne domy, bliźniaczo usytuowane; o- grodzone płotami splechki większych lub mniejszych trawników, drzewa, krzewy; wzdłuż chodnika stare kasztany.

Nic szczególnego nie zwróciło uwagi mieszkańców, żaden przechodzień, żaden parkujący samochód.

Na rogu kiosk Ruchu. Ajentka nawet zna z widzenia całą rodzinę Olaskich prowadzi ten kiosk od lat. Znała także ich gosposię; prenumerowali prasę i mają w kiosku tak zwaną teczkę. Gazety odbierała przeważnie Iza.

Nie, nikogo z nich tamtego wieczoru nie widziała, bardzo jednak możliwe, że Bia- łoniówna około siódmej przyszła po papierosy.

— Czy na pewno właśnie siódmej? — nalega Czyżewicz: informacja drobna, lecz cenna. Oznaczałoby, że Iza Białoó około godziny siódmej ż y ł a . Skróciłoby to czas, jaki muszą rozliczyć.

Jednak kobieta nie jest pewna. Tyle ludzi przewija się codziennie, przez wiele godzin od rana do wieczora widzi tyle twarzy, to się miesza, nakłada.

- Ona nic przychodziła często, zawsze brała kilka kartonów naraz, bo tam każdy z nich pali inne — sumiennie uzupełnia kioskarka. Rozumie wagę swoich informacji, o wypadku na Koralowej słyszała już następnego dnia od klientów.

Kiedy zamknęła kiosk? Jak zwykle o dziewiątej. Chyba padało, zresztą teraz pada codziennie. Nie, nie przypomina sobie, aby widziała coś podejrzanego lub godnego uwagi.

Do jednej z okolicznych kawiarni, mieszczącej się na sąsiedniej ulicy, równoległej do Koralowej, wstępują już tylko gwoli zawodowej sumiennosci. Leży bardzo blisko i trudno przypuszczać, aby pokazywał się w niej morderca przed lub po dokonaniu zbrodni.

Lokalik jest mały, zamiast szatni kilka wieszaków, stoliki oddzielają drewniane kratownice, po których pną się szeroko- listne rośliny umieszczone w ceramicznych rynienkach. Łagodne boczne światła — ciasno, przytulnie.

Ani jednego wolnego miejsca: ta okolica Saskiej Kępy to pustynia gastronomiczna. Andrzej okazuje barmance znaczek rozpoznawczy służby kryminalnej i pyta, czy często bywa u nich taki tłok.

— Zawsze jest komplet —■ odpowiada barmanka. — Klienci różni. Najwięcej młodych ludzi z tej dzielnicy, w dzień interesanci pobliskich ambasad.

— A wieczorem?

-- Rzadko trafia się nie zajęty stolik — barmanka nabija podłużne bułeczki na gorące metalowe walce, w

otwór w taki sposób opieczonej grzanki wciska nieco musztardy i parówkę wyjętą ze szklanego podgrzewacza. — Cztery hot-dogi! — woła głośno, przesuając po barze tackę z zamówieniem. — Panowie zajmujecie się morderstwem na Koralowej? — domyśla się dziewczyna.

Dlaczego morderstwo? Ludzie mówili. Podobno jakiś trójka, w ogóle coś skandalicznego, konkubin córki albo kochanek matki. Nie. nic zna nikogo z tej rodziny, nazwisko Olasky czy Wójcik nic jej nie mówi. Nasłuchiwała się plotek w lokalu. Kto je kolportuje? Starsze panie, rezydujące tu niemal codziennie przed południem. Te panie zna tylko jako klientki lokalu, ale proszę, niech panowie przyjdą około jedenastej - kawiarnię otwiera się o dziesiątej — to one tu z pewnością będą.

Kiedy dowiedziała się o wypadku na Koralowej? Następnego dnia. Czy w przeddzień, to znaczy siódmego listopada, jacyś goście nie zwrócili jej uwagi, szczególnie wiecz o rem ?

— Myśli pan, że ON by po t y m mógł przyjść spokojnie na kawę? — otrząsa się barmanka.

— To również mogła być ona — zauważa Czyżewicz.

— A także para - uzupełnia Marian.

— Nie zapamiętałam nikogo, przecież nikt nie ma napisane na czole... Gdyby się człowiek spodziewał... — dziewczyna jc-st bardzo przejęta, grozą napawa ją myśl o kimś, kto morduje i zaraz potem jak gdyby nigdy nic wchodzi do kawiarni.

— A jedna gościówna to zostawiła portmonetkę — odzywa się młodziutka kelnerka, od dobrej chwili przysłuchująca się rozmowie. — Pokaż — mówi do koleżanki. — Bardzo śmieszny portfelik.

— Nie takie rzeczy goście zostawiają — barmanka szuka w szufladzie. — Mamy już osiem parasoli, toczkę z maszynopisem, kilkanaście książek i skórzaną kurtkę, zupełnie dobrą... Proszę — podaje kapitanowi uszatego jamnika z brązowego zamszu. Piesek ma na grzbiecie zamek błyskawiczny.

Kapitan wytrząsa z niego trochę bilonu i stułotowy banknot złożony w kostkę.

— Więcej pieniędzy tam nie było — podkreśla barmanka. — Ta pani bardzo się spieszyła, kupiła papierosy, no i zapomniała portmonetkę na barze.

— Jak wyglądała owa roztargniona pani? — Czyżewicz pyta raczej po to, aby okazać, że docenia dobrą wolę obu dziewczyn.

— Miała przepiękne kozaczki! — wzdycha z rozmarzeniem młodziutka kelnerka. — Wysoki obcas, cienka zelówka i cholewka niezbyt blisko nogi, najmodniejsze!

Kelnerka spostrzegła pozostawioną portmonetkę i wybiegła zaraz za klientką, ale jej już na ulicy nie było; może odjechała samochodem, a może skręciła za róg. no bo przecież nie rozplynęła się w deszczu. DaJęj za nią nie poszła, zimno, dał wiatr, a ona miała na sobie

tylko służbowy mundurek, no i przy stolikach niecierpiwili się goście.

— A jak w ogóle ta osoba była ubrana?

— Płaszcz miała także modny, chyba ciemny brąz z jakiegoś płaskiego futra, szyty w poprzeczne pasy. To się nazywa szpaltowanie — oświeca ich kelnerka marząca o takim stroju. — Dołem rozkloszowana, w talii ściągnięty szerokim zamszowym paskiem, szyk!

— Czy nosiła kapelusz? — Czyżewicza nagle bardzo interesuje roztargniona pani, opis płaszcza pasuje, jak ulał, do futra z norek Celiny Wójcikowej, a i fason bucików jest taki sam.

— Nie, była z gołą głową. Miała ciemne włosy do ramion, opadające na policzki, i grzywkę; nosiła ciemne, duże szkła.

— Lustrzane, przeciwsłoneczne?!

— Nie pamiętam, ale chyba optyczne, przydymione.

— W jakim mogła być wieku?

— Bardzo młoda to ona nie była, ale przy tych szklach i tej grzywie twarzy prawie nie było widać, tylko mocno umalowane usta.

— Pani jest pewna, że tę portmonetkę pozostawiła właśnie kobieta w brązowym futrze?

Kelnerka jest pewna, zapamiętała modny strój, a także zabawny kształt portmonetki, którą tamta trzymała w ręku.

— Nie miała ze sobą torebki?

— Miała, ale podchodząc do baru wyjęła portfelik. O której godzinie przyszła? Z pewnością było to wieczorem i chyba sódmeo listopada, bo najprawdopodobniej już następnego dnia w lokalu mówiono o wypadku na Koralowej. — Kelnerce w ten sposób kojarzą się te dwa fakty.

Kapitan dziękuje dziewczętom z lokaliku. Zabiera ze sobą portmonetkę-maskotkę.

Czyżby tam była Celina Wójcikowa? — zastanawiają się z Marianem. Wójcikowa mogła swobodnie poruszać się w tej dzielnicy, nie zwracając na siebie szczególnej uwagi. Dlaczego jednak nie odebrała portmonetki?

Domyśla się pewnie, gdzie ją zapomniała, i boi się tam iść. Miała przecież kilka dni, aby odzyskać zgubę.

Czy to w ogóle jest jakiś d o w ó d? Tyle przedmiotów z pewnością pozostawiano w kawiarence, gdzie zawsze panuje duży ruch i każdy dzień zaciera poprzednie zdarzenia. Z czasem już nikt z personelu nie będzie pamiętał, kto i kiedy zostawił drobiazg wartości kilkudziesięciu złotych z garścią bilonu i stułotowym banknotem. Lecz jeśli pójdzie go odebrać nazajutrz czy w kilka dni później, gdy w całej dzielnicy głośno o zdarzeniu na Koralowej, to jej osoba utrwali się w pamięci pracowników kawiarni; musiałaby także jakoś udowodnić, że zamszowy piesek należy do niej, a więc trzeba by powiedzieć, ki e d y go pozostawiła.

Ale może to być znacznie prostsze: Wójcikowa nie przyszła po portmonetkę, bo nie pamiętała, gdzie i w

jakich okolicznościach ją zgubiła: ciekawe, czy jeśli zwróci się jej ten przedmiot, przyzna się do niego?

Kapitan powtórnie zagląda do lokaliku na Saskiej Kępie. Ma prośbę do kelnerki: czy zechce oddać mu przysługę i pójść z portmonetką na Koralową do starszej pani Wójcik?

Dziewczyna zgadza się. Tak, rozumie, o co chodzi, oczywiście nie wspomni o inicjatywie kapitana.

— Znam pani adres, jesteśmy prawie sąsiadami — przedstawia się pani starszej. — Widuję panią u nas na kawie. Znalazłam na barze ładny drobiazg. Bardzo możliwe, że należy on do pani. Ponieważ stanowi pewną wartość, proszę się zastanowić, co pani brakuje i opisać zgubę.

Wójcikowa namyśla się, bada pierścionki na palcach, zegarek; biegnie do swego pokoju, przewraca w swej kasetce: medalion, bransoletka, brosza, klipsy — wszystkie cenne przedmioty są.

— Nie wiem, co mogłam u was zostawić — uśmiecha się bezradnie.

— A to? — kelnerka pokazuje jej zamszowego pieska.

— Maskotka! — mówi rozczarowana Wójcikowa. — Nie, to nie moje. I cóż w tym wartościowego? — dziwi się szczerze. — Dlaczego przyszło pani do głowy, że to może być moje? — sprawia wrażenie, jakby nie miała pojęcia, do czego służy skórzany jamnik.

— Niewypał — zawiadamia Mariana Czyżewicz. — Albo Wójcikowa nigdy nie widziała portmonetki o takim kształcie, albo taka szczwana.

— Albo też portmonetka należy do innej pani, której poza roztargnieniem nic nie możemy zarzucić — Marian sceptycznie traktuje podejrzenia związane z zamszowym jamnikiem.

Kapitan jedzie do pani M. na ulicę Szaserów; otwiera mu młodzianka naburmuszona dziewczyna, z buzią czerwoną jak piwonia.

— ...szynki też brakuje prawie ćwierć kilo... — w głębi otwartej kuchni szczupła blondyna w czarnych spodniach i czerwonym golfie zdejmuje z wagi łom szynki, ciska na szalkę osznurowaną połędwicę. — A kto tam? — przerywa zajęcie i staje w ramie kuchennych drzwi.

Andrzej przedstawia się, chce rozmawiać z panią M.

— To ja — mówi dama w czerni, odruchowo wyciera ręce, spostrzega gapiącą się na Czyżewicza dziewczynę.

— Schowaj wszystko do lodówki — zagarnia ją do kuchni. — Może kawy? — to do Andrzeja i nie czekając na jego odpowiedź: — Iwona, zrób kawę... — wyraźnie usiłuje zagadać scenę, której stał się mimowolnym świadkiem.

— A jakiej? — chce wiedzieć Iwona. — Marago czy Orient?

Pani dysponuje Mokkę:

— I podaj ciasto — upycha dziewczynę do kuchni,

— A jakie? — znów wykwita Iwona. —
Keks z tamtej niedzieli czy sernik, ale on też zeschnięty... A, jest jeszcze i makowiec. ale on starszy od keksu — zezując na Czyżewicza złośliwie mruży ładne oczy, ciekawa efektu, jaki sprawiły jej informacje. Andrzej ma nieprzeniknioną twarz pokerzysty.

— Nie dawaj żadnego — kapituluje pani M. i z rozmachem zamyka drzwi. Prosi Andrzeja do pokoju.

— Ona mnie tyranizuje... — otwiera kluczem wrota olbrzymiego kredensu, wyciąga czekoladki. — Nie mam czasu zajmować się domem ani stać w kolejkach, ze wsi przywożą mi wyroby masarskie... Człowiek cały dzień ciężko pracuje, mam pracownię modniarską, wie pan czapki, kapelusze. Ale kapelusze to teraz żaden interes, kto dziś nosi kapelusze? Prawie nic się nie zarabia. A znów klientki toby chciały za byle grosz, bo niby co to jest kapelusz? Pewno, to nie sukienka czy futro! W mojej pracowni ubierają się aktorki i w ogóle świat artystyczny... Pan pewno myśli o mnie bardzo źle przez te złośliwości Iwony! Wzięłam ją ze wsi, ani to me, ani be, tłu tak był, wszystkiego musiałam uczyć... W pół roku z trusi żmija! Za co mnie kompromituje? Niech pan sam powie, czy taka dziewczyna może zjeść w dwa dni, oprócz normalnych posiłków, ćwierć kilo baleronu, prawie tyle samo szynki i ćwierć polędwicy? No przecież się wędlna o tyle nie zeschnęła, prawda? To co ona z nią robi, wynosi? Ale komu, nikogo tu nie ma. Zjada. Jak ją z tej wsi wzięłam, to jadła, jakby miała so- litera. Myślę, odgryzie się, wróci do normy. Gdzie tam... Ale one wszystkie takie, przyjdzie nierozgamięta, a za parę miesięcy wyewani się i żąda podwyżki, jak nie, odchodzi...

— Ile pani płaci Iwonie? — Andrzej korzysta z luki w monologu; modystka mówi, że dziewięćset złotych. — A ile pani płaciła Izie Białoń?

— Która to będzie? — szuka w pamięci pani M. Te niewdzięczne dziewczyny średnio wytrzymują u niej od trzech do sześciu miesięcy. Tyle ich zmieniło się przez te lata, nie może sobie przypomnieć Izy.

— Ona pracowała u pani prawie rok.

Przyszła w sześćdziesiątym dziewiątym, odeszła 30 czerwca 1970, pochodzi spod Mławy, wieś Rosławice — wspiera jej pamięć Andrzej.

— Ach, Iza... Tak, była taka, oddałam ją swej klientce, sławnej aktorce. Wtedy jechała za granicę i na gwałt szukała służącej. przemiała osoba... Robiłam jej wtedy trzy kapelusze: budkę z koronki, stylowego Rembrandta z czarnego aksamitu — jakież to był słodki kapelusz! — no i trzeci, zaraz, jaki ten trzeci: turban czy amazonka ?

Andrzej mężnie znosi charakterystykę trzech kapeluszy sławnej aktorki.

— ...jechała na *tournee* i pilnie potrzebowała kogoś pewnego i gospodarnego, bo ten jej mąż herbaty nawet nie potrafił zaparzyć! Tak się trzęsła nad tym mężem, a on ją rzucił. I to dla kogo? Dla teatralnej fryzjerki! Tacy są mężczyźni! Robiłam

biduli kapelusik na sprawę rozwodową: *Grande duehese*, paryski model z dużym rondem...

— Pani była zadowolona z Izy? — modystka skwapliwie potwierdza. — A dlaczego ona odeszła, także zażądała podwyżki?

— Powiem panu. Skoro milicja się nią interesuje, nie będę kryć. Można jej była zaufać, co prawda, to prawda. Ale ona była w ciąży.

— I dlatego ją pani odprawiła?

— Nie tak prędko, jak pan myśli — wzdycha pani M. — Późno zauważyłam, bo maskowała figurę. Pytam. Przyznała się, płacze. Na zabięć za późno. Z kim? W wesołym miasteczku na Powiślu z takim od karuzeli. Szukaj go teraz, jak tylko wiadomo, że mu było Mirek. „Moja droga — mówię — ja nie prowadzę zakładu dla dziewcząt w odmiennym stanie, ja potrzebuję gosposi. Masz tu za ostatni miesiąc i zabieraj się”. Rozpacz, ona nie ma dokąd, już raczej woli do rzeki niż do rodziców.

Wściekła jestem, bo i trochę szkoda, i w jakiś sposób jestem odpowiedzialna, przecież pod moim dachem była. A jeśli naprawdę się utopi, to co? Milicja, wyrzuty sumienia i jeszcze prasa napisze: prywatna inicjatywa zaszczuła biedną

F

dziewczynę! No to trzymałam ją, aż poszła do szpitala. Ale powiadam: „Iza, wymawiam ci, wrócisz, zabierasz rzeczy i z Bogiem...” Odwiozłam ją do położniczego w połowie czerwca, podobno urodziła chłopca.

— Dlaczego podobno?

— Ja dziecka nie widziałam, do szpitala nie chodziłam. Co pan chce i tak zrobiłam więcej, niż do mnie należało. A ona jak wróciła po rozwiązaniu, powiedziała: to był chłopiec.

— Dlaczego „był”?

— Bo go oddała. Powiedziała: oddałam v.' dobre ręce, jakby mówiła o szczeniakach albo o kocieciach... Wtedy pojechała na wieś, do swoich. Odetchnęłam, ale nie na długo. List do mnie pisze, żeby ją z powrotem wziąć. Za żadne skarby, myślę. Ja wiem, czy oddała dziecko, może mi tylko tak powiedziała, a okaże się inaczej... Może jeszcze mi przyjdzie pieluchy jej bębna prać, no bo jak wyrzucić, jeśli się zaprowadzi z niemowlęciem? T akurat napatoczyła się artystka. Pomogłam Izie i oddałam przysługę stałej klientce. Wysłałam depeszę, przyjechała zaraz. Mówię jej: „Dziewczyno, miejsce jak marzenie, dam ci dobrą opinię, o dziecku nie wspominaj, bo to może zrazić”.

Andrzej pyta o dochody Izy, jej oszczędności, ludzi, z którymi się przyjaźniła.

— Nie wiem o żadnych oszczędnościach — odżegnuje się modniarka. — Kiedy odwiozłam ją do szpitala? W połowie czerwca, ale dnia nie pamiętam... — O środowisku dziewczyny nic nie umie powiedzieć.

Andrzej wraca do siebie, musi załatwić bieżącą korespondencję dotyczącą innych spraw, nagromadziło się jej niepokojąco dużo: ostatnio stał się utrapieniem koleżanek z sekretariatu komendy, odpowiedzialnych za terminarz.

Z hali maszyn, gdzie podyktował najpilniejszą poczę, wyciąga go Marian.

— ...wszyscy pamiętają, że Kornacki był na zabawie tamtego wieczoru, lecz zabawa trwała od siódmej wieczorem do trzeciej nad ranem, a rozpoczęła się programem „Variétés”, przy którym on nie miał zajęć, to żadne alibi... — przekonuje porucznik; w podziale pracy jemu przypadło zebranie wiadomości o elektryku i jego środowisku.

— Mimo to znacznie lepsze niż Wójci- kowej czy Łapińskiego, bo oni nie mają go wcale! — Czyżewicz chce spławić Mariana; potwierdzenie informacji uzyskanej od modystki wydaje mu się w tej chwili sprawą najważniejszą, pyta jednak odruchowo: — Czy przez cały czas widziano go z Jaromianką?

— Także nic pewnego, ale teraz Kornacki w ogóle się nią nie zajmuje, co dzień widują go z inną kobietą, gęsto wokół niego od dziewczyn. Zespół zakończył *tournee* i czasu mu nie brakuje... Natomiast angaż Jaromianki wygasł i nie wygląda, aby Kornacki chciał jej znów pomagać w uzyskaniu nowego. Sama zabiega o kontrakt w Estradzie, ci jednak nie kwapią się.

Obiecują coś dopiero na okres świąteczny, na sylwestra lub w kar nawale. Wtedy restauracje rozlapują estradowców bez względu na nazwisko. Oczywiście każdy stara się o znamenitszych, ale ponieważ wówczas popyt przewyższa podaż, biorą, jak leci, i Estrada sprzedaje ich niczym świeże bułki. Co obrotniejsi organizatorzy kaperują bardziej znane nazwiska...

— Nie za dużo o tej Estradzie? Szkód., czasu! — niecierpliwi się Andrzej. — Mnie interesują stosunki Kornackiego z tą panią o nieznośnym charakterze — przypomina opinię Ilony L. o Jaromiance — a także ona sama. Przymierzyłeś do niej „Roztargnioną” z kafejki na Saskiej Kępie?

— Kelnerka nie rozpoznała Jaromianki ze zdjęcia.

— To jeszcze niczego nie dowodzi! Mogła nie poznać. Cześć! — Czyżewicz śpieszy do szpitala, w którym według informacji pani M. Iza Białoń pięć lat temu urodziła dziecko.

Marian jest umówiony z dzielnicowym — w jego rejonie mieszka Marieta Jaromianką — i sierżant już od kilku dni pomaga porucznikowi.

— ...nosi kozuch albo brązowy płaszcz — informuje Mariana — ja się tam nie znam na futrach, no to pokazałem artyst-

kę żonie, a ona mówi, że to nie żadne futro, tylko miś. Taka ludzająca imitacja... Owszem, wcięty, i ze skórzanym paskiem, ale takie płaszcze nie są rzadkością. — Dzielnicowy z rezerwą traktuje zainteresowanie porucznika garderobą Mariety.

— Nie są rzadkością — zgadza się Marian — ale tyko o to mogę się zahaczyć.

... ona rzadko bywa w domu — ciągnie sierżant — z sąsiadami wcale się nie zadaje, stróżka też pretensji do niej nie ma. Wiadomo, że artystka, pewnie jednak mało znana, bo nawet w telewizji nikt jej nigdy nie oglądał.

• — To wszystko, co wiecie, sierżancie?

— Jeśli nie ma skarg ani brewerii... — obrusza się dzielnicowy. — T zaraz raptem każdy szczegół chciałby pan wiedzieć, poruczniku. To nie pożar, a ja nie strażak. Nie mam do niej żadnego dyskretnego dojścia, a tak wprost, jakie mam prawo niepokoić spokojnego obywatela?... Odszukałem adres takiej jednej, co u niej sprzątała kiedyś na przychodnię, niejaką Majzłakowa. Kobieta na miejscu, tyle że z córką ma kłopoty. Dziewucha po maturze, ale nie pracuje i dalej też się nie „zy. Wieczorowa dziewczyna, lokale, mężczyźni.

— prostytutka?

— Do domu nie sprowadza, matka by nie dała, ale pieniędzy zawsze ma w bród. A skąd? Karana nie była...

Majzłakowa — mała, sucha kobiecina z twarzyczką trójkątną jak pyszczek łasicy — niechętnie przyjmuje porucznika.

— Mam terminową robotę — demonstracyjnie siada przy maszynie, na której rozłożone jest jakieś szycie; Marian rozumie, ona jego wizytę kojarzy z córką, więc prędko pyta o Jaromiankę.

• — Już u niej nie robię — uspokojała co do powodu zainteresowania milicji, staje się przystępniejsza. — Chałupnictwo wzięłam — wskazuje sztukę płótna.

— Pewno, to lżejsza praca — przyznaje porucznik.

— - Dobrze się trzeba naślęczyć, aby te parę złotych zarobić — wzdycha kobieta. — To nie ja od niej odeszłam i nawet nie ona mi wymówiła, tylko ten jej kocha-

niec... po tym, jak ją do czubów posłał. Będzie już z pół roku, jak tam nie chodzi. Pięćset złotych miesięcznie z tego miałam.

— Ten mężczyzna mieszkał u nici?

— Dochodzący. Nie mój interes, ale jakąż on dla niej para? Mnie to nawet i żal jej trochę było, bo stara, a głupia. Co z niego miała, co? Puste butelki, panie poruczniku, ot, co miała!

— Tak pił?

— Ja tam nie widziałam, czy pił. Raz na tydzień przychodziłam, ale niewąskie libacje musiały odchodzić, jak nieraz bywało, dziesięć albo i więcej flaszek z tygodnia wynosiłam. Z tygodnia! Rozumie pan? Powiadam, nie mój interes, ale jak on ją do Pruszkowa odstawił, to się zaraz z moją córką zadał. Prawda, ladaco dziewczyna, co tu ukrywać. Jak pan tu

przyszedł, to już pan i tak wie. Na striptizerkę obiecywał ją wykierować, bo on też przy artystach, niech go morowe powietrze! Panie, ja ze swoją dziewczuchą poradzić sobie nie potrafię, ale żeby mi wstyd robiła na oczach całej dzielnicy? Całe życie tu mieszkam, ludzie mnie znają, a moja córka kręci z chłopem kobity, co na chorobę poszła, do tego ja tam w obowiązku jestem... Myślę sobie, artysta on czy nie artysta, a po mordzie nakładę i tę rozpustę rozgonię. Trudno, szlaja się moja po mieście z zagranicznymi facetami, ale tutaj, pod moim bokiem, nie będzie... No to przypilnowałam, kiedy znów przyszedł, i poszłam robić porządek, ale z nim.

„Nie będziesz, draniu, pośmiewiska ze mnie robił!” — powiadam i prask go mokrą ścierką przez łeb.

A on, łobuz, do mnie: „Wynoś się, ty stara...” — i karalnie mnie nazwał. — Nawtykałam mu, ile mogłam, aż sąsiedzi powychodzili, to przycichł, bo mu się wstyd zrobiło. I tak my się rozstali, nawet mi pieniądze za ostatni miesiąc nic oddał.

— Czy pani Jaromianka miała futro? — dowiaduje się porucznik.

— Za moich czasów futra to ona nie miała — Majzłakowa jest zdziwiona obrotem rozmowy — tylko kożuch.

— Może widziała pani jej portmonetkę?

— A widziałam, nieraz, jak mi płaciła. Taki pies z zamszu, no jak mu tam? Jamnik! Podobał mi się nawet, to ona powiedziała, że w pawilonach na Świętokrzyskiej takie sprzedają. Chciałam sobie kupić takiego, ale drogo, sto dwadzieścia złotych kosztuje...

W Pruszkowie potwierdzają się podejrzenia, jakie powziął porucznik pod wpływem informacji Majzłakowej; Marieta Ja-romianka była leczona, ale nie z rozstroju nerwowego, jak zgodnie a powściągliwie zapewniały niektóre osoby z jej otoczenia, tylko z przewlekłego alkoholizmu; zresztą nie była to jej pierwsza hospitalizacja.

Ludzie z jej środowiska, chociażby Ilona L., rozmowni, chętnie opowiadający o specyfice swojego zawodu, niekiedy złośliwie oceniający umiejętności artystyczne swoich kolegów, czasem zwalczający się wzajemnie bez pardonu, często skłóceni między sobą i zawistni, ani słowem nie wspomnieli o nałogu, który wykoleił i zniszczył karierę ich koleżanki.

Solidarność klanu? No tak, opinia publiczna skłonna jest do generalizowania; aktorzy, szczególnie ci znani, są na tym punkcie bardzo drażliwi, zresztą inne środowiska reagują identycznie.

Porucznik jest pod wrażeniem wiadomości uzyskanych o Jaromiance; wprawdzie opisana przez Majzłakową portmonetka aktorki ludząco przypomina tę, którą roztargniona pani zapomniwała w kafejce na Saskiej Kępie, lecz to jeszcze żaden dowód; sprawdził: rzeczywiście w pawilonach na Świętokrzyskiej sprzedano i wciąż sprzedają wiele takich portfelików. Ale jest i następny szczegół: brązowy płaszcz z płaskiego futra ze skórzanym paskiem. Taki płaszcz nosiła tamta kobieta. Jednak

plaszcz z brązowych nerek o takim samym kroju ma także Celina Wójcikowa. Natomiast kelnerka nie rozpoznała na okazanych jej zdjęciach ani Wójcikowcj, ani Jaromianki. Ale... Kobieta z kawiarni miała gęste, długie włosy z grzywką. Wójcikowa, gdy była u niej kelnerka, nie nosiła już peruki ani okularów. Jaromianka również ma włosy krótkie i nie używa szkieł.

Marian chciałby przeprowadzić pewien eksperyment, do 2-ctórego potrzebna jest aktorka i Wójcikowa, lecz bez Czyżewicza nie może o tym decydować, a kapitan już trzeci dzień wciąż jest nieuchwytny.

Tymczasem Andrzej siedzi w archiwum szpitala położniczego, wertując kartotekę pacjentek sprzed pięciu lat. Dokumentacja jest dość zaniedbana i długo trwa, *zanim* razem z archiwistką odnajdują wreszcie kartę Izy Białoń.

Szesnastego czerwca o drugiej nad ranem urodziła chłopca, ze szpitala wypisano ją ze zdrowym dzieckiem dwudziestego szóstego czerwca 1970 roku.

Andrzej odkłada kartę i dopiero wtedy dostrzega podpis: (—) Celina Wójcikowa, referent ewidencji — i adnotację z dnia szesnastego czerwca o przesłaniu zawiadomienia do Urzędu Stanu Cywilnego o narodzeniu się dziecka płci męskiej z matki Izabeli Białoń.

Kapitan spisuje informacje z karty ewidencyjnej; niemożliwe, aby Iza następnego dnia po urodzeniu dziecka poszła do PKO. A przecież w jej książeczce oszczędnościowej widnieje wyraźna data założenia: siedemnasty czerwca 1970 roku. Osobiście tego nie zrobiła, więc ktoś załatwił to w jej imieniu. Kto? Ktoś, komu zaufała taką sumę albo ktoś, kto jej te pieniądze dał! „Oddałam dziecko w dobre ręce” — powiedziała modystce. . Czy ten pierwszy wkład, trzydzieści tysięcy złotych, ma jakiś związek z oddaniem dziecka? Może to cenna niechcianego noworodka?

Jedno jest pewne: Celina Wójcikowa — formalnie — w sposób przewidziany prawem, odnotowała jego przyjście na świat.

Porucznikowi przypomniała się wykrzywiona przerażeniem twarz Marii Ołanskiej, gdy zapytał w tamten pamiętny wieczór, do kogo należy medalion z filigranu, i jej krzyk: „Lok mego dziecka na piersi trupa!”

Ile lat ma chłopiec Olanskich, niecałe pięć? Jest więc rówieśnikiem tamtego, nic chcianego, oddanego w d o b r e r ę c e .

Istnieje logiczny związek między niezrozumiałymi dotychczas faktami, ich suma przekształca się w konkretny domysł.

Nazwisko Marii Olanskiej w ewidencji pacjentek nie figuruje i dopiero w następnej chwili Andrzej uświadamia sobie, że Maria nie nosi nazwiska swego męża, tylko panięskie: Wójcik. Spisywał jej personalia z dowodu osobistego, ale przyzwyczaił się myśleć o niej jako o Olanskiej. Pod nazwiskiem Wójcik archiwistka szpitala odnajduje kartę Marii.

Urodziła chłopca szesnastego czerwca o godzinie zero dwanaście. Tego dnia o piątej rano dziecko zmarło. Łacińska formuła określa przyczynę zgonu: wrodzona wada serca.

Zawiadomienie o urodzeniu i śmierci dziecka administracja szpitala wysłała do Urzędu Stanu Cywilnego także szesnastego czerwca, podpisała je referentka ewidencji. Celina Wójcikowa.

— O l a n s k a . . . - Wymienił pan to nazwisko, prawda, kapitanie? — upewnia się archiwistka. — W pierwszej chwili nie skojarzyłam sobie... To on jednak na-skarżył do milicji?

Kilka miesięcy temu — urzędniczka nic pamięta dokładnie daty, ale z pewnością działo się to w lecie, chyba w sierpniu — przyszedł jakiś pan. Przedstawił się jako Norbert Olansky, Kanadyjczyk polskiego pochodzenia, prosił o pomoc; otóż przeszło pięć lat temu poznał Marię Wójcik, dziewczynę z Warszawy, która przyjechała w odwiedziny do krewnych mieszkających w Ontario. Po kilku miesiącach wróciła do kraju. Potem zawiadomiła go o urodzeniu syna. Wysyłał pieniądze. Gdy w rok później przyjechał do Warszawy, nie zobaczył dziecka. Maria powiedziała, że jest z jej matką w uzdrowisku w Czechosłowacji. Interesy nie pozwoliły mu zostać w Europie dłużej, więc powrócił do siebie i dalej słał pieniądze.

Zaprosić jej do siebie do Kanady nie mógł, jest żonaty. Starał się o rozwód, w legalnym związku dzieci nie miał, uzyskał tylko separację. Zaraz napisał, żeby Maria przyjechała. Owszem, przyjechała, lecz bez dziecka. Zbyt męcząca podróż dla malucha — tłumaczyła.

Znow słał pieniądze, a ona fotografie chłopczyka. Teraz mając do załatwienia sprawę w Europie — jest hurtownikiem futer — załatwił je szybciej i wykroił dodatkowy czas na pobyt w Warszawie. Ale dziecka i tym razem nie zobaczył, podobno znowu przebywa z babcią za granicą. Chciał do nich jechać, Maria nie zgodziła się jednak i nie podała mu, gdzie przebywa jej matka z dzieckiem. ^ Wiedział, że Celina Wójcikowa pracowała w tym szpitalu, przypuszcza więc, że tu także urodził się jego syn, jeśli w ogóle przyszedł na świat.

Zachował jeszcze sentyment do matki dziecka i nie chce jej zrobić krzywdy, z tego powodu nie zwrócił się dotychczas do sądu, ale już nie może dłużej znieść niepewności i musi się czegoś konkretnego dowiedzieć, bo jeśli dziecko istnieje, pragnie zapisać mu majątek.

Archiwistka, poruszona niezwykłym zwierzeniem tego człowieka, odnalazła kartę Marii Wójcik i, przyznaje, dała Kanadyjczykowi do wglądu. Prawie płakał, spisując sobie dane.

— Dlaczego nie skierowała go pani do Rady Narodowej? — dziwi się kapitan.

— Taki był przygnębiony i bezradny... — bąka urzędniczka.

— Pani widziała jego paszport?

— Nnnie... — do reszty stropiła się kobieta. — Bilet wizytowy... Pomogłam mu bezinteresownie. Należy unieszkodliwić takie hieny żerujące na cudzych uczuciach. Tylu chłopów nie płaci alimentów, a tu zwodzą człowieka, wmawiając mu syna...

Kapitan nie podejmuje tematu, śpieszy do Urzędu Stanu Cywilnego w dzielnicy, w której leży ulica Szaserów. Tam w czasie pobytu w szpitalu była zameldowana Iza Białoń, więc w tym urzędzie powinna znajdować się metryka jej dziecka.

Nie ma metryki, lecz akt zgonu!"Syn Izy Białoń został spisany z ewidencji ludności w dniu szesnastego czerwca 1970 roku po przeżyciu niecałych pięciu godzin.

Saska Kępa — rejon ulicy Koralewej. Tu mieszkają Olanscy. Zapis metryczny ich dziecka głosi: Jacek Norbert Olansky, urodzony w dniu szesnastego czerwca 1970 roku...

Kapitan rozumie już, skąd pochodzi pierwsza wpłata na konto Izy Białoń, jednak musi wyjaśnić rzecz do końca. I jego przypuszczenia potwierdzają się w centrali Powszechnej Kasy Oszczędności.

Tak, książeczkę PKO na nazwisko Izy Białoń otworzyła w dniu siedemnastego czerwca 1970 roku Celina Wójcikowa, ona też wpłaciła na jej konto trzydzieści tysięcy złotych.

— Cena małego chłopczyka! — zżyma się Marian, kiedy Czyżewicz mówi mu

O wynikach wywiadu u modystki oraz o informacjach zebranych w szpitalu i w centrali PKO. — Ale później chcę się więcej i tak przez dwa lata uzbierało się prawie ćwierć miliona. Daninę Białoniów- na ściaf. Ja regularnie: pięć tysięcy co miesiąc i jeszcze kilka razy do roku, może pod postacią p r e z e n t ó w . No to już wiesz, skąd miała pieniądze?

— Nie jestem pewien, czy to jedyne źródło jej dochodów...

— Jak one musiały jej nienawidzić! To może być motyw... Powinieneś zatrzymać Wójcikową, fałszerstwo jest bezsporne! Można by ją wtedy, ubraną w futro

I perukę, pokazać kelnerce z Saskiej Kępy, to samo zrobić z Jaromianką... — Marian zapoznaje kapitana z wiadomościami uzyskanymi o aktorce.

— Zastanawiające! — informacje porucznika robią wrażenie na Andrzeju. — Tylko żadnych charakteryzacji! Jak ty to sobie wyobrażasz? Chcesz przystosować wygląd tych kobiet do rysopisu tamtej z kafejki? W taki sposób mogę ci podtypować pierwszą z brzegu...

— Ta portmonetka też nie jest dowodem, na Świętokrzyskiej sprzedają je na pęczki.

— Oczywiście, że nie jest dowodem, ale poszlaką na pewno. W dodatku alkoholizm aktorki... Zapewne otrzymywała leki i do domu... No, nie wszystko naraz, trzeba najpierw porozmawiać z Wójcikową — decyduje Andrzej.

Pod tę rozmowę porucznik musi przygotować grunt, dowiedzieć się możliwie najwięcej o rodzinie Olanskich. Nie nastęcza to większych trudności.

Osiem lat temu Maria Wójcikowa podjęła pracę w biurze wycieczkowym jako hostessa. W jakiś czas później, opiekując się wycieczką Polonii kanadyjskiej, poznała Norberta Olansky'ego, syna emigrantów z Rzeszowszczyzny... Olansky przemierzył ocean nie tylko z sentymentu do starego kraju, którego nigdy nie widział, bo urodził się w Kanadzie — komentuje porucznik. — W Ontario, z pierwszej ręki, od traperów, jego spółka akcyjna skupuje skóry, wyprawiają je garbarnie firmy, także ich rzemieślnicy szyją futra. Ale kuśnierstwo jest

jedną z nielicznych dziedzin skutecznie opierającą się mechanizacji. O wszystkim decyduje kunszt rękodzieła. Żadna maszyna nie zestawi runa, nie dobierze odcieni futra. To musi zrobić rzemieślnik, a ci z Ontario cenią się bardzo...

Olansky bywa na najsłynniejszych aukcjach branżowych w Paryżu i Londynie. W Londynie zwraca jego uwagę pawilon polski, prezentujący rzemiosło najwyższej klasy. Olansky w czasie najbliższej podróży po krajach Europy przyjeżdża do Polski, a opuszcza ją po zawarciu długoterminowych umów z „Ambasadorem”, z zakładami białoskórnymi na Górnym Śląsku i z prywatnymi warsztatami kuśnierskimi. Umowy są korzystne dla obu stron. Olansky przysyła surowiec i modele sporządzone przez paryskich i londyńskich projektantów firmy, a robociznę opłaca szlachetnymi skórami.

Teraz kilka razy do roku przyjeżdża doglądać swoich interesów. Każdy taki pobyt trwa parę tygodni, a hostessa Maria już prywatnie dotrzymuje towarzystwa Kanadyjczykowi, patronuje temu obrotna mamusia.

Maria spodziewa się dziecka i w swoim biurze wycieczkowym bierze urlop bezpłatny, motywując to wyjazdem do Kanady. Niemal aż do rozwiązania siedzi w Otwocku u tych samych ludzi, gdzie i teraz. Znajomym nie pokazuje się na oczy,

zwyczajnie się ukrywa. W tym czasie Kanadyjczyka nie ma w Polsce, jego biznes nie pozwala mu zagrzać długo miejsca, ale potrafi z różnych stron świata dzwonić do Otwocka. Natomiast jego warszawski pełnomocnik pod czujnym okiem Celiny Wójcikowej kupuje i wyposaża willę. Wszelkie upoważnienia dotyczące spodziewanego potomka leżą u tegoż adwokata i gdy tylko urodzi się dziecko, ojcostwo Olansky'ego zostaje wpisane w jego metrykę. Teraz babcia kabluję za ocean: „Syn T’

W odpowiedzi Olahsky czyni w swojej Kanadzie poważny zapis na imię dziecka, a notariat z Ontario przesyła kopię stosownych dokumentów do warszawskiego adwokata.

W trzy miesiące po urodzeniu dziecka znajomi otrzymują drukowane zaproszenia. Wynika z nich, że Maria Wójcik i Norbert Olansky zawarli ślub w polskim konsulacie w Ontario, a teraz zapraszają na wesele na Saską Kępe w Warszawie.

Wesele gromadzi wiele osób, w tym niemal cały personel biura wycieczkowego. Znajomi potem komentują to zdarzenie, bo Maria Wójcik nadal figuruje w dokumentach jako panna, tyle że z dzieckiem. Ale fakt pozostaje faktem, że Kanadyjczyk zachowuje się jak troskliwy mąż i ojciec. W zasadzie mieszka z nimi, jeśli można powiedzieć o faciecie spędzającym średnio kilka miesięcy w roku w podróży po dwóch kontynentach, że w ogóle gdzieś mieszka.

Futra, garbarnie i cały ten kram pę-» azą go bez wytchnienia po świecie, a teraz jeszcze bardziej, bo ma już dla kogo gromadzić. W Warszawie rośnie syn! Jego jedyne dziecko, które urodziło się, gdy Olansky liczył już pięćdziesiąt dwa lata.

Nie może ożenić się z Marią ani sprowadzić jej do Kanady, bo w Ontario jest małżonka — nie tylko legalnie poślubiona według obrządku rzymsko-katolickiego, ale także współniczka firmy, a i kilku członków jej rodziny również posiada akcje futrzarskiej spółki. O rozwodzie się nie mówi. tak jak jest, jest dobrze i wszyscy są prawie zadowoleni. W każdym razie godzą się na ten kompromis.

— Pani założyła książeczkę Izie Białoń i wpłaciła na jej konto trzydzieści tysięcy złotych. Było to siedemnastego czerwca 1970 roku — podkreśla Andrzej. — Z jakiego tytułu podarowała jej pani tak znaczną sumę?

Wójcikowa milczy; twarz nieruchoma jak gemma, świeża twarz z matową cerą bez zwiotczeń przeczy wiekowej tej kobiety. Jej lata pozostały tylko w wyrazie oczu.

— Jeśli pan już tyle wie, to zna pan i odpowiedź! Spodziewałam się tego... — dodaje z rezygnacją; Andrzej rozumie, nie zaskoczył jej, oczekiwała takiej

rozmowy i bała się, miała jednak nadzieję, że on nie odkryje ich tajemnicy. Teraz ta nadzieja prysła.

— Mimo wszystko starała się pani ukryć tę sprawę przede mną.

— Ukrywałam przed całym światem, a właśnie panu, milicjantowi, miałam się zwierzyć? Z fałszerstwa, latami płaconego okupu? Kto z własnej woli pcha się do więzienia? A teraz gdy ona umarła...

— Ona została za3nordowana.

— Boże!... — Następne słowa zamierają jej na ustach. Wpatruje się w kapitana tymi starymi oczyma z rozpaczą. — I nas pan podejrzewa, mnie lub moją córkę?

— N i k o g o nie podejrzewam, rejestruję i badam fakty, tymczasem wy jesteście jedynymi ludźmi, którzy mieli motyw, aby ją usunąć... I nie wiem, co pani robiła w tamten wieczór.

— Może w pana praktyce zdarzały się i takie wypadki, ale na miłość Boga, my jesteśmy normalnymi ludźmi! Mogłam popełnić fałszerstwo, aby zdobyć prawo do tego dziecka, które kochamy jak nasze własne, ale nigdy nie zabiłabym jego matki... To dlatego tak wypytywano ludzi... — Wójcikowa opada na oparcie krzesła — a mnie do głowy nie przyszło, po co to... Fan będzie przesłuchiwał Marię i Norberta? Kapitanie, zaklinam pana na wszystko, co panu drogie, niech pan ominie Norberta! Jeśli wdzięczność, starej kobiety... cóż panu po mojej wdzięczności... Wszystko panu powiem, wiele muszę wyjaśnić, sądzi pan pewno, że utraciwszy własne, z wyrachowania zaplanowane dziecko, kupiliśmy sobie inne, aby tylko związać bezdzietnego, niemłodego mężczyznę i w ten sposób trafić do jego kasy?

To nie jest takie proste i jednoznaczne, kapitanie! Moja córka już nigdy nie będzie miała dzieci.. Ten wyrok ogłoszono tam w szpitalu, gdy jej maleństwo zostało także skazane. I ja zdecydowałam, ja, tylko ja! Maria była zbyt chora, zrozpaczona i bezwolna. A grałam nie o kasę Norberta, ale o normalną przyszłość dla mojej jedynej córki. Kiedy spotkała Norberta, miała już trzydzieści cztery lata i naprawdę szczerze się cieszyła, gdy okazało się, że spodziewa się dziecka. Ten człowiek widział z nią przyszłość, byliśmy pewne jęgo opieki i przywiązania. Lecz skąd pewność, czy on tę przyszłość będzie iak samo widział bez dziecka, którego pragnął, i z już na zawsze bezdzietną Marią? Przecież z tego powodu rozchwiał się pierwszy jego związek, chociaż formalnie istnieje do dziś... ale to już zupełnie inna sprawa.

A ta dziewczyna? Fakt, była bez środków do życia i nie miała dokąd iść ze szpitala z dzieckiem, lecz ona traktowała to przypadkowe i niechciane macierzyństwo jak hańbę! Bez namawiania zgodziła się na warunki, na jakich uwalniałam ją od dziecka... Nie, ona nie wyznaczyła za nie ceny, chociaż teraz tak mogłabym powiedzieć i od nikogo pan by się nic dowiedział, jak było naprawdę. Ale zdecydowałam się powiedzieć panu wszystko, bo chodzi o los chłopca, a prawo nie może być aż tak bezmyślnie okrutne, żeby

— choćby w imię prawdy — wyrzucić tak straszną krzywdę malutkiemu dziecku.

Iza nie żądała określonej sumy, ona chciała tylko trochę pieniędzy, bo była bez grosza i bez pracy. To ją przeznaczyłam dla niej trzydzieści tysięcy, lecz nie dałam do ręki ani grosza, tylko wpłaciłam na książeczkę, aby nie roztrwoiła zaraz po wyjściu ze szpitala.

O, niech pan spojrzy... — drżącymi rękami zdejmuję z szyi medalion, otwiera kopertę. — To pasemko włosów po naszym zmarłym dziecku, a to fotografia Jacusia, gdy był jeszcze bardzo małego. M a m dwóch wnuków, proszę pitna, jeden umarł, a drugi żyje' i chowa się zdrowo, niechże pan postara się zrozumieć, to nie jest takie niezwykle, a ja nie usiłuję pana wzruszać. Jacek to naprawdę n a - - s z e dziecko!

— Jak pani sądzi, dlaczego Iza włożyła ten medalion?

— Ona często z przekory używała różnych naszych rzeczy, chociaż miała dość swoich. Poza wypłacanymi pieniędzmi kupowałyśmy jej ubranie i wszystko, czego potrzebowała, nawet papierosy. Ani grosza nie wydawała na siebie z pensji. Od córki dostała nawet bransoletkę i pierścionek. Ten medalion należy do mnie, nosiłam go zawsze albo starannie chowałam. bo Iza nieraz próbowała go wkładać. Owszem, jest ładny, bardzo starej roboty, ale nie dlatego brała go z takim upodobaniem. Robiła na złość Marii, odkąd spostrzegła, jak ją to denerwuje... Już nieraz zastanawiałam się, czy nie wyjąć z niego fotografii Jacka, ale nie miałam serca.

— Jak was Iza odnalazła?

— Przyszła z ogłoszenia, szukaliśmy gosposi; później powiedziała: szczęśliwy przypadek... Jak było naprawdę, nie wiem. Ze szpitala odeszłam w pół roku po urodzeniu naszych dzieci, chciałam zatrzeć ślad. I dlatego poszłam na niepełną rentę. Może tą drogą trafiła do nas? Trafiła i została. Powiedziała: zżera ją tęsknota za dzieckiem, chce być blisko niego, da pomoc w gospodarstwie, oczywiście w rozsądnych granicach, i bezczelnie zażądała pięć tysięcy miesięcznie. Byłam zbyt przybita, aby protestować. O Marii nie ma co mówić. Została, a jakież miałyśmy wyjście? Tak, te dwieście tysięcy uzbierała u nas. Ostatnio poprosiła o trzydzieści pięć tysięcy na materiały budowlane. Córka dała. Złękłam się, że po tym żądaniu, spełnionym bez szemrania, ona straci umiar i zadławi nas. Postawiłam się.

„Iza — powiedziałam — co zyskasz, jeśli rozbijesz nasz dom i sprowadzisz nieszczęście? Zrobisz to, a co dalej? Złota żyła wyschnie i nie wyciśniesz już nawet złotówki, bo my nie będziemy miały żadnego interesu, aby cię opłacać, a Olansky tym bardziej nie zapłaci ci za wiadomość, że hoduje dziecko twoje i jakiegoś cyrkowca, a nie swego syna. Czy na waszej wsi zarzyna się krowę dającą mleko?”

„Jak się ustawię w życiu, to zejdem wam z karku i ani o mnie usłyszycie” — obiecała; to były jej zwykłe zapewnienia, kiedy przychodziła po pieniądze. Mimo wszystko przeczuwałam, że dopóki nie zbudujemy jej szklarni, ona nam nie popuści.

„Te trzydzieści pięć tysięcy będę ci strącała po dwa i pół miesięcznie z wypłaty” — uparłam się. Byłam zdeterminowana i musiałam zaryzykować, trzeba było wreszcie postawić tamę jej zachłanności. Nic czerpałyśmy do woli z zasobów Norberta, niech pan nie myśli. To bardzo dobry człowiek, ale kupiec, on rachuje i rozlicza z tego, co daje. Szczęściem nie wtrącał się do zarobków córki, no i nie interesował się moją emeryturą. Na Izę szła pensja Marii i moja renta... Po raz pierwszy w sierpniu potrafiłam Izie dwa i pół tysiąca złotych z pensji, a w listopadzie to się z nią stało.

— A dziesięć tysięcy wpłacone w 1973 roku? — Czyżewicz wymienia ostatnią nie wyjaśnioną pozycję z konta Biało- niówny.

Wójcikowa nie przyznaje się do tej sumy; one nie dały, a Norbert w ogóle nie wchodzi w rachubę. On się dobrze namyśli, zanim da sto złotych, a coś dopiero dziesięć tysięcy.

— Kapitanie, powiedziałam pan wszystko, a teraz niechże pan ma wzgląd na dziecko! Tu już nie chodzi o pieniądze, tylko o sieroctwo Jacka. Kłamstwo czy chociażby przemilczenie bywa niekiedy litościwsze, a prawda okrutna. Tak właśnie jest w naszym wypadku... Co komu przyjdzie z tej prawdy, jeśli przede wszystkim uderzy ona w dziecko! To ja sfalszowałam zgłoszenia o dzieciach i tylko ja za to odpowiadam! O tym nie może dowiedzieć się Norbert, to już niemłody człowiek, ma teraz pięćdziesiąt sześć lat i w niczym nie zawinił...

— Nie chciałbym pani martwić, ale pan Okmsky zdaje się wie już o wszystkim.

— To niemożliwe! — kredowa bledosc powleka jej twarz, znów opada na oparcie krzesła. Andrzej boi się, że Wójciko- wa zaraz zemdleje. — Wszyscy się sprzysięgli przeciw temu dziecku? Nie dam go skrzywdzić, nie dam... To chyba niemożliwe — powtarza. — Dla Norberta byłby to straszny cios i on by tego nie potrafił przed nami ukryć, nawet jeśliby chciał. Przecież go dobrze znam. Poczuc się aż tak oszukany i milczeć?

— Czy pan Łapiński wie lub domyśla się pochodzenia dziecka?

— A niech Bóg broni! Nikt! Nikt, tylko Iza, Maria i ja.

— Czy pani córka poznała Norberta Olansky'ego w Ontario?

— Nigdy nie była w Kanadzie, Norberta poznała w Warszawie.

— i)laczego więc Olansky opowiadał w szpitalu, że spotkał córkę w Kanadzie?

— Ach, więc był w szpitalu i tam się dowiedział... Ale kiedy, panie kapitanie?”

— W sierpniu — dopiero teraz uderza kapitana ten czas; w sierpniu Wójcikowa po raz p i e r s z y potrafiła Izie z pensji 'dwa i pół tysiąca złotych.

— To nie mógł być Norbert!... — Gdy Wójcikowa dochodzi do tego wniosku, wybucha płaczem, długo nie może się uspokoić. — Przepraszam, ale zupełnie puściły mi nerwy... To nie mógł być Norbert, w lipcu wyjechali z Marią na urlop do Włoch, a w sierpniu i we wrześniu zięć był w Kanadzie, słyszy pan, w Kanadzie! — niemal krzyczy, ale ulga trwa tylko chwilę: — W takim razie. .kto to był, panie kapitanie, i do czego potrzebował tych informacji?

— Bardzo chciałbym to wiedzieć — zasępią się Czyżewicz. — Gdzie pan Olansky przechowuje bilety wizytowe?

— W chińskiej komodzie w hallu — Wójcikowa nie rozumie, co to ma do rzeczy. lecz intuicyjnie wyczuwa, że chodzi tu o wyjaśnienie jakiejś bardzo istotnej sprawy.

— Jeśli by ktoś próbował was szantażować — mówi po namyśle kapitan — proszę mu obiecać wszystko, czego będzie *żądał* i natychmiast mnie powiadomić... Jeżeli będzie pani zmuszona dać jakieś pieniądze, proszę przedtem spisać serie i numery banknotów. Na razie w inny sposób nie mogę wam pomóc.

— A jeśli ten ktoś zgłosi się do Norberta?

— Ten ktoś nie gorzej niż Białoniówna wie, że od Norberta nic nie uzyska. Ta groźba przynosi pieniądze, dopóki jest niespełniona. I jeszcze jedno: ja nie prowadzę śledztwa w sprawie zamiany dzieci, interesuje mnie morderstwo, nie do mnie należy informowanie pani zięcia, chociaż z odpowiedzialnością za fałszerstwo musi się pani liczyć.

Urzędniczka szpitala, zapytana o wygląd Norberta Olansky'ego. mówi o mężczyźnie młodym, wysokim, ciemnowłosym i bardzo eleganckim. Innych szczegółów nie zapamiętała.

Kanadyjczyk, owszem, ubiera się bardzo starannie, ale na tym podobieństwo się kończy; to człowiek znacznie starszy, szpakowaty, niski i raczej niepozorny.

Andrzej pokazuje fotografię Olansky'-ego; kobieta długo ogląda. Nie, .o nie on, tamten z pewnością był o wiele młodszy i w ogóle inny.

Więc kto i po co wynotował dane o zmarłym dziecku Marii Wójcik? Ktoś, kogo posłała Iza Białoń? Ale w jakim celu, skoro ona wiedziała wszystko? A jeśli ten mężczyzna, poznawszy w jakiś sposób tajemnice trzech kobiet, szukał potwierdzenia nie inspirowany przez Izę, lecz bez jej wiedzy, to dlaczego mu na tym zależało?

A może jest to ten sam człowiek, który pozostawił ślady krwi na alunie w łazience Izy w dniu jej zabójstwa?

— Kornacki? — poddaje Marian. — Ja bym typował Kornackiego!

Zdjęcie elektryka „Variétés” archiwistka szpitala otrzymuje pośród kilkunastu innych. Nie rozpoznaje nikogo.

— W jakim celu mógłby tam pójść Kornacki? Powiedzmy, dowiedział się wszystkiego od Izy. W takim razie po co to ryzykowne podszywanie się pod Oian- sky'ego? — zastanawia się kapitan.

— Może ojcem dziecka nie jest mityczny Mirek od karuzeli, tylko właśnie Kornacki?

— Po tylu latach zateśnił za dzieciakiem?...

— Nic. Dowiedział się o powodach zależności rodziny Olanskich i przywilejach wymuszanych przez matkę jego dziecka. Taka wiadomość mogła ożywić uczucia ojcowskie i postanowił potwierdzić ją w szpitalu. Widocznie nie bardzo orientował się, jak to było naprawdę, bo nie sądzę, aby Białoniówna z własnej woli wprowadziła go w istotę sprawy. A potem doszedł do wniosku, że on także może na tym skorzystać.

— Siła złego na jedno małe dziecko.

— Kiedy przejrzał układy, pozbył się Izy... Nie patrz tak na mnie, to jest motyw. Z bardziej błahych powodów zdarzały się zabójstwa... Tylko dalszego, jeśli planował morderstwo, obnosił swoją fizys po szpitalu, udając kogoś innego?

— Może wówczas nie myślał jeszcze o morderstwie, kiedy zaś zdecydował się, nic brał pod uwagę tych wszystkich szczegółów, które my teraz badamy. Inaczej albo by tego nie zrobił, albo nigdy nie .doszlibyśmy do sprawcy.

Zagląda do nich komendant, pyta o przebieg przesłuchania Celiny Wójcikowej. Interesują go także szczegóły wywiadów o Kornackim i Jaromiance.

— ...moim zdaniem ani Wójcikowa, ani Olanska nie zamordowały tej dziewczyny — przekonuje Andrzej. — Uważam także za bezcelowe powtórne pokazywanie Wójcikowej kelnerce z Saskiej Kępy. Rozmawiała z nią już później, była u niej w domu, z portmonetką, i nie rozpoznała w starszej pani tamtej roztargnionej kobiety. Teraz zeznanie kelnerki i tak nie będzie miało rangi dowodu. Natomiast w świetle zgromadzonych przez Mariana informacji — oddaje sprawiedliwość koledze — rola Jaromianki jest więcej niż dwuznaczna, jest podejrzana! — Kapitan proponuje, aby aktorkę doprowadzić do komendy, pokazać kelnerce i niezależnie od wyników konfrontacji przesłuchać.

— Prawdopodobnie to ona była ową kobietą, która pozostawiła portmonetkę w kawiarni — Czyżewicz opiera swe przypuszczenia na wiadomości uzyskanej od Majzlakowej; która widziała u Jaromianki zamazanego jamnika.

— Jeśli potwierdzimy obecność aktorki w kawiarni na Saskiej Kępie między godziną osiemnastą a dwudziestą, tym samym obalimy wyjaśnienia Kornackiego dotyczące tamtego wieczoru. Zachwieje się jego alibi — podkreśla Marian.

- Dobrze — przystaje szef. — Ale Kornackiego na razie nie ruszać. Najpierw uderzyć w słabsze ogniwo.

Kapitan wspólnie z porucznikiem starannie przygotowuje scenariusz spotkania z Jaromianką; Andrzej porozumiewa się Łukaszem Majewskim. Nazajutrz o umówionej porze psycholog zajmuje swe miejsce w Telefonie Zaufania.

Marian wybiera w komendzie kilka koleżanek, które razem z Jaromianką zostaną pokazane kelnerce z Saskiej Kępy; dwie z nich ubrane są w brązowe futrzane płaszcze wypożyczone na tę okazję z zakładu kuśnierskiego.

Następnego dnia Czyżewicz przywozi kelnerkę; umieszcza ją w pokoju, skąd — niewidoczna dla innych — będzie mogła swobodnie przyjrzeć się zaprezentowanym jej kobietom.

Po aktorkę jedzie Marian; widok milicyjnej legitymacji i stanowcze zaproszenie do komendy wprawia ją w stan odrętwienia. Porusza się jak lunatyczka, zbiera się niesporo, znalezienie szalika czy rękawiczek wydają się czynnościami przerastającymi jej możliwości. Wreszcie zdejmuje z wieszaka kożuch.

— Za ciepły na dzisiaj — Marian wyjmuje go jej z rąk. Jaromianka nie protestuje, takim samym nieskoordynowanym ruchem otwiera ścienną szafę, sięga po brązowy płaszcz ze sztucznego runa.

Kelnerka długo obserwuje defilujące kobiety; rozumie, jaką wagę może mieć jej oświadczenie. Świadomość odpowiedzialności odbiera jej pewność siebie, paraliżuje ją lek przed popełnieniem omyłki.

Kategorycznie niczego stwierdzić nie potrafi, zastrzega się kilkakrotnie, i potem — wciąż z wahaniem — wskazuje Marietę. Podobny płaszcz i buciki, włosy jednak tamta klientka kawiarni miała zupełnie inne. Znacznie dłuższe, bardziej gęste, prosta grzywka. A twarzy nie zapamiętała.

Porucznik prowadzi Jaromiadkę do pokoju Czyżewicz a. Widok oficera, którego zapamiętała z Pułtuszka, powiększa jej panikę; przy tym zdaje sobie sprawę, że konfrontowano ją z kimś, kogo przed nią ukryto, a nikt o tym nie wspomina.

Czyżewicz wyjmuje z szuflady zamszowego pieska i podsuwa go Mariccie.

— Czy pani zna tę portmonetkę? Proszę ją obejrzeć?

Jaromianka siedzi bez ruchu, z trudem panuje nad sobą.

— To nie jest moje! Proszę mi nie wmawiać... — Wreszcie sięga po portfel. — Nie, to nie mój powtarza.

— Czy w dniu siódmego listopada była pani w kawiarni „Stokrotka” na Saskiej Kępie?

— Nie znam takiego lokalu, a siódmego grałam w Pułtusku.

— Pozostawiła pani tę portmonetkę w „Stokrotce”, kupowała tam pani papierosy.

Jaromianka nie odpowiada.

Kapitan podaje jej kartkę maszynopisu, u góry jest numer Telefonu Zaufania. Pod spodem tekst odtworzony z pamięci przez psychologa.

— Ten telefon powinna pani pamiętać. Proszę wykręcić numer i przeczytać ten tekst. — Andrzej podsuwa jej aparat.

— Nieee! — krzyczy aktorka. Drze kartkę, zrzuca z biurka zamszowego pieska. — Ja jej nie zabiłam! Jaki miałabym powód? Widziałam ją zaledwie raz w życiu!

— A drągi raz? Musiała ją pani widzieć i d r u g i raz.

— Nie, nie widziałam... ja... ja tylko dzwoniłam i rozmawiałam...

— Dlaczego pani to zrobiła?

— Przez Kornackiego! Ale on jej nie zabił, to straszny zbieg okoliczności!

- Proszę mówić, wszystko, co pani wie.

— My... my kradliśmy. Okradaliśmy mieszkania... — Jaromianka czepia się tego wyznania jak ratunku — ...tak, u Ilony I., to także my, ja i Adam... To nic było takie trudne czy niebezpieczne. Kornacki cieszył się wielką sympatią i zaufaniem w środowisku... Zresztą ja także. Nikomu do głowy nie przyszło posądzać nas o takie rzeczy... Mnie unikano tylko wówczas, gdy piłam, wtedy stawałam się przykra i kłopotliwa. Dlatego ostatnio poza domem nie piłam, wołałam sama. Przynajmniej nie wpadałam w konflikty...

— Proszę mówić, jak było tamtego wieczoru.

— Około szóstej Kornacki powiedział, że jedziemy do Warszawy, ma na widoku świeży dom i pewnego współpracownika, dziewczynę, która kiedyś pracowała u Ilony L. Będziemy bezpieczni, cała rodzina poza domem... Włożyłam perukę i ciemne szkła. Zawsze trochę zmieniałam wygląd przy podobnej okazji... Skąd wzięłam perukę? Pełno ich w rekwizytorni... Przyjechaliśmy na Saską Kępę, kazał mi czekać w wozie...

— Zawsze w takich wypadkach czekała pani w wozie?

— Nie. Jednak to mnie nic zdziwiło, przecież tam w środku była ta dziewczyna.

— Gdzie Kornacki zaparkował auto?

— Za rogiem ulicy, przy której znajduje się kawiarnia, a tam jest ruch i wciąż parkują wozy... Czekałam, czas mi się dłużył. Nie miałam papierosów, w aucie też ich nie było. Pobiełam do kawiarni, bardzo się śpieszyłam, bo gdyby Adam wrócił, a mnie nic zastał!... On tylko z pozoru jest taki ujmujący, zresztą mniejsza o to... Szybko wróciłam, a jego jeszcze nie było. Zaczęłam się już niepokoić, ale w końcu nadszedł. „Chodź, musisz mi pomóc” — papierosa mi zabrał i wyrzucił... Gdy weszłam do willi, z początku tamtej nie spostrzegłam, on ją czymś przykrył, i zasłaniał ją stolik oraz fotel... Podprowadził mnie szybko do czegoś takiego w rodzaju stylowej komody, był w niej barek. „Wypij!” — podał mi pełny kieliszek, był w rękawiczkach i mnie też kazał nałożyć. To mnie nie zdziwiło, ale zdziwił ten koniak; pozwalał mi pić. nawet dużo, lecz dopiero po wyprawie, nigdy w

trakcie. „Musisz improwizować!” — jeszcze 21 ie zrozumiałam, co chciał przez to powiedzieć, bo podsunął mi drugi kieliszek. To były duże kieliszki. Po takiej porcji nigdy nie jestem pijana, ale obojętnieję całkowicie na wszystko, co się wokół mnie dzieje, trawi mnie tylko jedno pragnienie: więcej alkoholu. On o tym dobrze wie. „Ta dziewczyna się otruła, leży tam, nie musisz patrzeć. Nie wiem, dlaczego to zrobiła, ale oboje możemy być podejrzani o morderstwo...” Słuchałam go i byłam jak z drewna. Wiedziałam tylko, że muszę jak najprędzej stamtąd wyjść, bo grozi niebezpieczeństwo, a potem napić się. Nie zastanawiałam się, dlaczego ona się otruła. „A teraz dzwoni — powiedział Kornacki — i mów mniej więcej tak...” <— jednym słowem miałam odegrać rolę samobójczyni „jeśli dobrze to zrobisz, nie będziemy mieli żadnych kłopotów” — i wykręcił numer telefonu... A ja... rozmawiałam, ale o tym już pan wie.

— Z jakiego szkła były kieliszki, z których piliście?

— Kryształowe. Kornacki zabrał je ze sobą i potłukł na szosie pod Pułtuskim. Bał się zostawić je na miejscu.

— Wspomniała pani, że był w rękawiczkach, więc w jaki sposób skaleczył się w palec żyłką?

— Pan o tym także wie?!... To stało się później, ja rozmawiałam, a on aranżował scenę. Wyłożył te żyłki na stolik, ale w rękawiczkach nie mógł wysunąć z opakowania, wtedy zdjął je na chwilę i skaleczył się, denerwował się, ręce mu latały...

— Czy ktoś was widział w Warszawie tego wieczoru?

— Nikt... — kurczy się kobieta. — Kornacki tak wszystko zorganizował, że nikt nas nie mógł zobaczyć, tylko ja nie wytrzymałam bez papierosów i stąd to wszystko...

— Proszę jednak spróbować przypomnieć sobie, może zatrzymywaliście się gdzieś po wyjeździe z Pułtuszka, przecież to nie pustynia.

— Nie, nigdzie... Kornacki brał tylko benzynę, ale nie w Pułtusk, zaraz przy wjeździe do Warszawy, zdaje się gdzieś koło Żerania. Ja jednak w ogóle nie wychodziłam z wozu. Mówił mi potem, że przez nieuwagę dał dwieście złotych, wie pan, tę nową srebrną monetę, zamiast dwudziestki, a pracownik stacji oddał mu... Kornacki zbiera monety, kolekcjonował wszystkie, jakie emitowano po wojnie, a tę zdobył w Pułtusk i jeszcze wtedy nie dołączył do zbioru...

— Proszę nam powiedzieć, czy przy wyjściu ze szpitala otrzymywała pani jakieś leki przeciwalkoholowe?

— Tak, ale Kornacki od razu mi je zabrał, miał je wydzielać... W Pułtusk piliśmy wieczorami, więc mi ich nie dawał.

Kiedy Kornacki zostaje zatrzymany pod zarzutem zabójstwa i kradzieży, początkowo wszystkiemu zaprzecza.

— ...to chory, niezrównoważony człowiek - oburza się po konfrontacji z Ja-romianką. — Ona może tam i była, skąd zresztą mogę wiedzieć, ale nie ze mną... Na tej podstawie oskarża pan mnie o morderstwo?

— Dlaczego w szpitalu, podając się za Olansky'ego, interesował się pan dzieckiem Marii Wójcik?

Kornacki traci tupet, zaczyna się płatać. Przerywa mu wejście Mariana.

— Rozpoznał — porucznik mówi tylko to jedno słowo i opuszcza pokój.

— Właśnie rozpoznał pana pracownik stacji benzynowej, w której tamtego wieczoru tankował pan paliwo przed wjazdem do Warszawy, a zwrócone przez niego dwieście złotych znalazłem w pańskim zbiorze... Możemy więcej nie rozmawiać, jest dość materiału na akt oskarżenia — Czyże wic z wstaje.

— Będę mówił... — poddaje się Kornacki.

Tak, Izę Białoń poznał u Ilony L., a nie w Mławie. vSkłamał podczas pierwszej rozmowy z kapitanem, chciał swej znajomości z Białoniówną nadać jak najbardziej przelotny charakter. Już wtedy był z Izą bardzo blisko, podobała mu się, potem ona zaproponowała mu tę kradzież u jej pracodawczyni. Tak twierdzi Kornacki teraz, lecz jak było naprawdę, już nikt nie odkryje.

— ...z łupu wypłaciłem jej dziesięć tysięcy — elektryk podobnie jak Marieta niemal chętnie opowiada o włamaniach.

Kradzieży u Ilony L. dokonał dopiero w kilka miesięcy po porzuceniu przez Białoniównę pracy u aktorki. To był warunek Izy; ona dała mu odblaski kluczy i wskazała miejsce, gdzie przechowywane są kosztowności.

W innych włamaniach — podejrzany jest wspólnie z Jaromianką o sześć kradzieży — Białoniówna udziału nie brała. Dlaczego? Po prostu po podjęciu przez nią pracy u Olanskich nie była mu potrzebna. Jednak nie zerwał z nią kontaktu, kiedyś zaproszony przez nią przyszedł, później bywał niekiedy, zwłaszcza pod nieobecność domowników.

Kusiła go zamożność Olanskich, intrygowała szczególna pozycja Izy w ich domu. Oceniał, że bez wielkiego ryzyka można się tu obłowić. Zaproponował Izę udział w kradzieży według takiego samego scenariusza jak i u aktorki L. Obiecał trzecią część wartości łupu. Białoniówna nic zgodziła się, kazała mu się trzymać z dala od domu Olanskich. Nawet zagroziła milicją. Zrezygnował więc z projektu i przestał się z Izą widywać.

— ...przyszła uo mnie sama, kiedy Wójcikowa obciąła jej haracz do dwóch i pół tysiąca... — Wtedy wyjawiała mu historię zamiany dzieci i prosiła o pomoc. Chciała zmusić kobiety do przywrócenia jej poprzedniej stawki.

— To w tym celu zbierał pan informacje w szpitalu?

— Chciałem mieć to czarno na białym, wiedziałem, że Iza zamierza wycofać się po uruchomieniu ogrodnictwa i wiązałem z tym pewien projekt...

Iza wyjawiała Kornackiemu swą tajemnicę widocznie pod wpływem pierwszego impulsu, wzburzona manewrem Wójciko-wej. Kiedy ochłonęła, poczuła, że popełniła nieodwracalny błąd; rychło pożałowała nierozważnego kroku, ale naprawić

go już nie mogła, zdała sobie sprawę, że ten bezwzględny człowiek nie pomoże jej, bo myśli tylko o wyciągnięciu jakichś korzyści dla siebie. Złękła się o los dziecka, w żadnym razie nie chciała przeciągać struny w stosunku do Olanskich, a teraz gdy tak lekkomyślnie wydała ich i syna na pastwę człowieka pozbawionego skrupułów — nie miała spokojnej chwili. Nic dopuścić do skandalu! Za każdą cenę wyeliminować Kornackiego z gry. To stało się jej obsesją. W odczuciu Białoniów-ny elektryk zagrażał wszystkim, mógł w każdej chwili zburzyć dotychczasowy układ. Dlatego gotowa była na wiele, włącznie z narażeniem siebie, aby tylko to niebezpieczeństwo zażegnać.

Kornacki dopiero po jakimś czasie spostrzegł, w jakim stanie psychicznej determinacji znalazła się Iza. I teraz już prawie nie myśli, jak wykorzystać informację Białoniówny, natomiast rozpaczliwie szuka sposobu, aby skutecznie zabezpieczyć się przed Izą; a w żadne jego obietnice czy zapewnienia ona nie wierzy.

Stara się jej unikać. To pogarsza sytuację, bowiem ona nie pozostaje bierna. Już nie kończy się na groźbach, Białoniówna atakuje! Wie bardzo wiele o jego działalności z Jaromianką i szantażuje go, żąda pieniędzy! Wylicza, że oszukał ją przy podziale łupów pochodzących z kradzieży u aktorki L.

— ...zlekceważyłem ją początkowo. Myślałem: Gęś! Postraszę i da mi spokój... Kiedy się spostrzegłem, było już za późno, ona stała się niebezpieczna, gotowa pogrążyć nawet siebie, aby tylko mnie utopić.

Narastało w nim uczucie zagrożenia i mglisty z początku zamiar przyoblekał się powoli w zupełnie konkretny kształt. Świeżo zdobyta wiedza o lekach przeciw-

alkoholowych i łatwość zabrania ich Jaromiance przesądziły sprawę, tym bardziej że obmyślił doskonały — w jego mniemaniu — sposób pozbycia się Białoniówny.

Tego dnia — wydawało mu się, że zabawa i występy „Variétés” w Pułtusku zapewniają mu alibi — zadzwonił do Izy: ma dla niej pieniądze, chce jednak otrzymać w zamian pokwitowanie, aby mieć jakąś gwarancję i w ten sposób zakończyć wszelkie rachunki między nimi. Iza przystała na proponowaną godzinę, napominała nawet, aby był punktualny, bo potem jest zajęta.

Gdy przyjechał, poczęstowała go sokiem z puszki i szkotem — takich gestów nie potrafiła sobie odmówić, a Kornacki dobrze znał ją pod tym względem — poprosił o szklankę gorącej herbaty. Kiedy Iza wyszła do kuchni — wrzucił do jej szklanki z sokiem pastylki.

Potem pili ten sok, pili szkota. Po trzecim kieliszku Białoniówna poczuła się bardzo źle. Wtedy Kornacki pobiegł do łazienki — tam mieściła się domowa apteczka — nie dotknął niczego, natomiast po powrocie zaaplikował dziewczynie dużą dawkę leku przeciwalkoholowego jako aviomarin. Na zapicie podał jej porcję szkota w szklance. W kilka minut później straciła przytomność, po następnym kwadransie nic żyła.

Szklanki i puszkę po soku zgarnął do torby, butelkę z resztką alkoholu starannie wytarł. Potem sprowadził do willi czekającą w samochodzie i nieświadomą biegu wydarzeń Jaromiankę. Mimo ostrożności, nie ustrzegł się błędu. Gdy zdjął rękawiczki, aby wyjąć z opakowania żyłkę, skaleczył się. Wówczas już trzęsły mu się ręce, nie panował nad nerwami.

Korektorzy JOLANTA ROSOSIŃSKA JOLANTA STODAR

P R I . N T K D I N P O I - U ' D

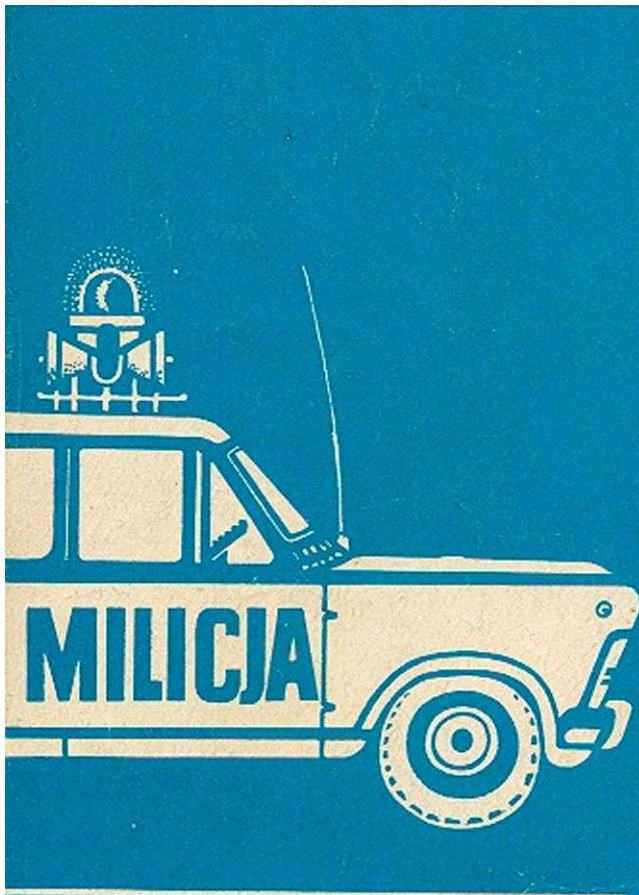
Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1975 r. Wytłanie I. Nakład 100 (X)-f-276 egz. Ark. wyd. 4,8. Ark. druk. 3. Papier druk. sat. VII kl. 60 i. 70X100. Ł>ruk. ukończono w listopadzie 1975 r. Lubelskie Zakłady Graficzne. Zam. nr 1924. Cena zi G.— B-60

Okladkę projektował
MARIAN STACHURSKI

Redaktor
DANUTA ŁUKAWSKA

Redaktor techniczny
JAROSŁAW WOF/ODKO

Ewa wzywa 07...Ewa wzywa 0



W latach 1974—1975 w serii „Ewa wzywa 07” ukazały się:

- Nr 63 Marian Butrym — Horoskop
 64 Krystyna Złemski — Rubinowy ślad
 65 Kazimierz Sławski — Zbrodnia rzaźi zbrodnie
 66 Tadeusz Lembowicz — Neseser Marii Visconti
 67 Helena Sekula — Siedem diablów dzładka Osiornego
 68 Izabela Gierszewska — Szatan bol się myszy
 69 Waldemar Kurzejewski — Tarysta z Durbanu
 70 Zygmunt Zeydler Zborowski — Dżem z czar-nych porzeczek
 71 Jerzy Romuold Milicz — Cena utraconego czasu
 72 Jerzy Edigey — Diabeł przychodzi nocą
 73 Maciej Z. Bordowicz — Handlarze jabłek
 74 Maria Osladacz — Trop wiedzy w historii
 75 Marian Łohutko — Czarno na ulicy Kłękłtnej
 76 Wojciech Letki — Zbrodnia prawie doskonała
 77 Andrzej Bogusławski — Sprawa, której nie było
 78 Aleksander Mag — Podwójna gra
 79 Zygmunt Zeydler Zborowski — Kakułka bez zegara
 80 Marian Butrym — Pajęczyna
 81 Fryderyka Janis — Człowiek z cienia
 82 Władysław Krupinski — Jak pan przeniósł ten gtyps?